Nr. 18. Lwów, Niedziela dnia 7. Stycznia 1877 r. Tom IV.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XVII.

Egoizm narodowy.

Nie ma bardziej wstrętnego człowieka nad samoluba, który tylko siebie ma ciągle na myśli, i nawet o najbliższych nic się nie troszczy. To też egoizm, jeśli nie zasługuje na nazwę zbrodni, w każdym razie występkiem wobec społeczeństwa nazwać należy. Rozumie się samo przez się, że mówimy tu o samolubstwie, w codziennem tego słowa znaczeniu, a nie o wrodzonem każdemu człowiekowi przywiązaniu do własnego „ja“ które jak wszystko, co dała natura, jest koniecznem i pożytecznem. Nigdy jednak żadnej zasady nie można bezwzględnie stosować w życiu, które jest jednem pasmem ciągłych względności. Okoliczności zmieniają czasem zbrodnię w cnotę i przeciwnie. Rozmyślne narażenie własnego życia równa się zamiarowi samobójstwa, jest więc występkiem, a przecież nikt nie będzie uważał za występek odważnej walki za kraj na polu bitwy. Tak samo ma się rzecz z samolubstwem. Od człowieka bez rodziny, mającego się troszczyć tylko o siebie, znajomi i towarzysze mogą żądać daleko więcej ofiarności, aniżeli od ojca licznej familji. To co u pierwszego nazwiemy samolubstwem, u drugiego będziemy uważać jako słuszną zapobiegliwość, jako obowiązek; powinność pierwszego, może u drugiego być naganną lekkomyślnością. Jeżeli ojcu licznej rodziny nie bierzemy za złe pewnej dozy samolubstwa, egoizm narodowy przedstawi się nam jako cnota. Naród, jeżeli ma istnieć, musi ciągle mieć siebie tylko na myśli i dążyć tylko do własnego dobra. Jakto? może kto zapyta, — przecież nad narodem, jest jeszcze coś wyższego — ludzkość. Bezwątpienia, ale ludzkość składa się właśnie z narodów, a im który z nich szczęśliwszy, tem szczęśliwszą ludzkość cała. Uważając egoizm narodowy za cnotę, nie chcemy przez to powiedzieć, aby naród dążył per fas et nefas ze szkodą innych do polepszenia swego bytu; musielibyśmy bowiem uświęcić wszystkie niegodziwości popełniane od tylu wieków przez jedne narody na drugich. Pod pożytecznym i uczciwym egoizmem narodowym rozumiemy skrzętną dbałość o własne dobro, staranne przestrzeganie własnych interesów na każdym kroku i wyciąganie w sposób uczciwy wszelkich możliwych korzyści od postronnych. Sentymentalna miłość ludzkości do niczego nie prowadzi; lekkomyślne zajmowanie się sprawami obcemi jest tak samo naganne, jak to, gdyby ojciec rodziny troszczył się bardziej o dzieci sąsiada, niż o swoje własne. My niestety, jedynym może na całym świecie jesteśmy narodem, nie mającym prawie wyobrażenia o egoizmie. Historja nasza jasne tego daje dowody. Przeważa w niej sentymentalność i rycerskość, a bardzo w niej mało zimnego, samolubnego rozumu stanu. Gdziekolwiek wypisano na sztandarze piękną ideę, tam szliśmy walczyć, dawaliśmy krew naszą i genjusz obcym w usługi. Nie szczędzono nam za to pochwał i wieńców. To naród szlachetny, prawdziwie rycerski—wołali najgłośniej ci, którzy z nas korzystali — bierzcie sobie Polaków za przykład, jaki u nich zapał, jaka ofiarność! Poeci na cześć naszą układali dytyramby, wznoszono dla nas wiwaty po bankietach, ale też i na tem koniec. Jak tylko porosły mogiły naszych wojowników, poległych za obce sprawy, ci którzy nam najwięcej winni, zapomnieli o rycerskim narodzie, albo odpłacili się czarną niewdzięcznością.

Powiedzieliśmy, że egoizm narodowy jest konieczny i w każdym razie pożyteczny. Jeżeli to stosuje się w ogóle do każdego narodu, o ile bardziej powinien posiadać tę cnotę naród podbity, uciemiężony, któremu ze wszech stron grozi ruina i zagłada! Taki naród powinien samolubstwo posunąć do najwyższego stopnia, rzecz bowiem rozchodzi się nie już o gorszy, albo lepszy byt, ale o istnienie. Naród taki, to jak człowiek skazany na śmierć. Nikt takiemu skazańcowi nie weźmie za złe, jeżli dla uratowania własnego życia, cudze nawet poświęci. My jesteśmy w takiem położeniu. Liczni a potężni wrogowie z wyrafinowaną przebiegłością i okrucieństwem nastają na naszą zgubę, indywidualność nasza jest zagrożoną — u nas więc samolubstwo narodowe powinno jak najszersze przybrać rozmiary.

Pereat mundus, fiat justitia! Dopóki własnego bytu politycznego nie odzyskamy, powinniśmy tylko własny interes mieć ciągle na myśli i obojętnie spoglądać choćby walił się świat cały. Niestety mimo klęsk i zawodów nie pozbyliśmy się sentymentalizmu w polityce, a to szczególniej w skutek szerzenia przez różnych pseudo proroków zdania, że należy nam iść tylko drogą poświęcenia dla drugich. Nabajano nam tyle o jakimś mesjanizmie Polski, przyrównywano aż do znudzenia ojczyznę naszą do Chrystusa, który w milczeniu dał się za drugich ukrzyżować, że opanował nas jakiś szał apostolski, który innym przynosił korzyści, a nam nieobliczone szkody. Droga taka prowadzi prosto do ostatecznego upadku. Nie zapominajmy, że świat jest samolubny, a jeżeli chcemy wywalczyć sobie należne nam stanowisko, musimy imać się tej samej broni, której przeciw nam używają. Ostatnie wypadki okazały nam, że pod tym względem w narodzie naszym powstał zwrot ku lepszemu. Ludziom poważnym udało się przekonać ogół, że nie tylko materjalne, ale nawet moralne mięszanie się w sprawy obce, dla nas tylko niekorzystnem być może. Obowiązkiem jest naszym śledzić pilnie wszystko co się za granicą dzieje, ale zawsze tylko w tej myśli, aby z wypadków dla siebie korzyść wyciągnąć. Sentymentalni politycy, których nie brak nigdzie, usunęli się prawie zupełnie, a ogół spoziera na nich z politowaniem. Przekonamy się wkrótce, jakie to nasze stanowisko w niedalekiej już przyszłości wyda owoce, a nawet skutki tego już są widoczne. Cała Europa spoziera obecnie na nas ze zdziwieniem, nie wiedząc czego ma oczekiwać; wrogowie tłumią gniew we wnętrzu widząc naszą zimną krew i spokój, widzą bowiem, że już po większej części pozbyliśmy się naszej lekkomyślności i zamierzamy życie prowadzić na serjo. Potrzeba tylko, aby ci, którym zawdzięczać mamy ten zwrot ku spokojnemu i rozważnemu zapatrywaniu się na sprawy krajowe, nie ustawali w pracy i dalej naród w tym kierunku kształcili. Obowiązkiem każdego dobro kraju miłującego obywatela jest w pierwszym rzędzie pozbycie się lekkomyślnego angażowania

się choćby tylko myślą w sprawy obce i szerzenie takiego przekonania w kole najbliższych. Jeszcze raz powtarzamy: bądźmy egoistami, bo w przeciwnym razie zginąć musimy a śmiech niewdzięczników rozlegać się będzie na naszej mogile!

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Część druga.

— Powtarzam to niemal co do słowa, mówił Żeliga, bo pamiętam każdy wyraz. Nie śmiałem ust otworzyć aby jej odpowiedzieć, ona ciągle szeptała mi wdzięcznym, anielskim głosem dziwne objawienie.

— Wy i waszego — mówiła — i naszego nie rozumiecie życia, wyście biedni, ale też was ratować potrzeba i trzymać, bo o swej sile iść wam trudno. Z kim jest duch Boży, niewidzialny, ten drogę widzi i idzie nią śmielej; kogo on opuści błąkać się musi.

— Towarzyszu mój — dodała — nim twoja dusza powróci na łono Boże, jeszcze musi cierpieć i walczyć na świecie. Życie twe nieskończone, praca niedokonana, jest dusza biedna, która na ciebie czeka abyś ją wybawił od zagłady. Musisz żyć, kochać, cierpieć, męczyć się, być po waszemu szczęśliwym, a o mnie zapomnieć. Zeszłam aby ci to objawić, bo wiem że cię pokrzepię i ośmielę. Z niebios nie ma zazdrości, na ciebie czeka kobieta...

Na te słowa przerwałem milczenie zdziwiony i przelękły:

— Przysięgam ci, rzekłem—i dochowam przysięgi.

— Dochowałeś jej — odpowiedziała — jesteś wolnym. Jak śmiesz sprzeciwiać się woli Bożej? a jeśli jesteś potrzebnym, jeśliś wyznaczony do trudu, do szczęścia, do pokuty, do spełnienia wyroku, którego nie rozumiesz, bo sięga po za życie twoje, i po nad twe życie? duchu mój—mówiła ciagle—oto dla upewnienia kroków twych, dla oszczędzenia walki, zgryzot, niepewności, schodzę i mówię ci: Żyj, kochaj, zapomnij...

— Na te wyrazy — dodał kasztelan, rozdarło się serce moje, łzy miałem w powiekach, jęk mi i łkanie mówić nie dało. Postrzegłem tylko, że mi krzyż uczyniła nad czołem i jakby wiatr przewiał nad twarzą, ku której się schyliła. Duch zniknął.

Barciński milczał długo, Żeliga spuścił głowę.

— Przyjacielu — rzekł po chwili stolnik — nie jeden raz człowiek własnego widziadła staje się ofiarą, jabym sądził, że tu jedyne lekarstwo modlitwa i pilna na siebie baczność aby nie dopuszczać...

— Mój stolniku — odparł Żeliga, — przecież bym przeciwko sobie nie marzył i to jeszcze takich dziwactw, których spełna nie rozumiem. Jestem przerażony i boję się bym nie oszalał.

— Ale cóż znowu panie kasztelanie — odparł stolnik — nie trzeba takich myśli przypuszczać. Bywają hallucynacje i widzenia złudne, ale im się człowiek bronić powinien, aby nie popadł w sidła złego ducha. Przyznasz mi kochany przyjacielu, że to widmo dziwne jakoś prawiło rzeczy przeciwko samemu sobie, coś mi w tem jest podejrzanego.

Kasztelan westchnął.

— Kiedym waszmości zaczął o tem opowiadać, wiedziałem już z góry, że to na was takie uczyni wrażenie, obudzi niewiarę, zrodzi wątpliwość; ale znacie mnie przecie, jestem człowiek trzeźwego umysłu, chłodny, nie przypuszczający fantazji.

— Lepiej o tem milczmy — rzekł stolnik cicho — ludzie by to wzięli na języki i coby z tego zrobili, Bog jeden wiedzieć raczy.

— Ja też to waszmości tylko dla ulżenia sobie powierzam *sub rosa* — odparł kasztelan — a co zresztą Bóg da, to da.

— I dodam jeszcze jedno — rzekł stolnik—jeśli waszmość, co być może, nie oprzesz się chęci przechadzki po tej uliczce znowu, weźże kasztelan mnie z sobą, niech ja będę, a ręczę, że się tym razem nam nie pokaże.

— No to idźmy jutro wieczorem, gdy księżyc tylko zejdzie, — żywo zawołał Żeliga.

— A jam gotów — rzekł stolnik — człowiek na swoich śmieciach śmiały, i nigdym się duchów nie obawiał. Pójdziemy.

Z tem się rozstali, a następny dzień upłynął cały w posępnem milczeniu; kasztelan był zamyślony dziwnie, stolnik zakłopotany. Biały dzień przypomnienia wczorajsze uczynił tak jakoś nieprawdopodobnemi, że o nich nawet mówić nie śmieli przed sobą.

Po objedzie tylko uważali dziwne jakieś szepty i tajemnicze rozmowy, wychodzenia, narady niespokojne pomiędzy Justysią a matką. Trzy razy wychodziły obie, powracały, a na ostatek pani Marcinowa kiwnęła na męża i wyprowadziła go do bokówki.

— Nigdybym jegomości z takiego dzieciństwa się nie zwierzała — rzekła — ale bo mi Justysia dziwnego napędziła strachu.

— No coż tam takiego? — spytał stolnik ruszając ramionami.

— Jakaś osobliwsza historja — rzekła zniżając głos pani Marcinowa — wystaw sobie jegomość: z rana poszła Justysia przejść się do ogrodu, bo to ona codzień musi oblecieć wszystkie kąty. Wczoraj respektem tego, że kasztelan często się po ogrodzie przechadzać lubi, kazałam późno wieczorem dziewczętom powracającym z pańszczyzny przynieść w fartuszkach piasku i posypać ścieżki w ogrodzie. Dałam im za to chleba i séra na podwieczorek. Justysia swawolna ciesząc się tak ślicznie zagrabionemi ulicami, że na nich jeszcze stopa ludzka nie postała, wbiegła do alei. Ale cóż? oto w rogu gdzie się kończy szpaler, znajduje na wygładzonym piasku dwie malutkie stopy wyciśnięte, widocznie kobiece. Nic by to nie było dziwnego, ale ulica i od nich i do nich nietknięta, śladu żadnego, tylko męskie z jednej strony stopy. Zkądże się tam wzięły, z nieba spadły? Obok nich wyciśnięte stopy większe mężczyzny, które wychodzą od dworu. Ale te kobiece, dwie, raz tylko zdaje się stąpiły na piasek i dalej ich już nie ma nigdzie. Justysię to tknęło. Trzeba wiedzieć że choć moja noga nie wielka, a Justysi jeszcze mniejsza, wszystko to nie w porównaniu do tej stopy, którą podobno miała tylko Agnusia. Takeśmy się tem zmięszały, żeśmy chodziły, stare jej trzewiczki, które tu były schowane na pamiątkę, mierzyć z tym śladem, i co jegomość powiesz, akuratnie tak przypadły, jakby ona z tamtego świata...

Stolnik ofuknął się nie dając żonie dokończyć.

— I co mi wasani durzysz głowę takiem bzdurstwem! Kto to co podobnego widział! słyszał! urojenie, warjacja! Stopy dziewczyna jakaś pochodziła, dziecko może, bzdurstwo! głupstwa! Tfu! tfu! Przeżegnajcie się i dajcie mi pokój.

Pani Marcinowa obraziła się także.

— No to idź sam, zobacz, przekonaj się i nie gderz. Ja cię się radzę poufnie, a ty na mnie krzyczysz, sam nie wiedzieć za co i po co?

Stolnik się zmitygował i pocałował jejmość w rękę.

— No! no! zgoda bo, — rzekł — cicho, zgoda; znowu nie ma się tak czego gniewać! Ale ja tych duchów, aberacyj, baśni przy kądzielach nie lubię, od tego ludzie głowy tracą. Z tamtego świata pono nikt nie powraca, a my powinniśmy pilnować tego, co tu do czynienia mamy, na naszym; ot basta.

Nie przyznał się stolnik przed żoną, że po nim ciarki przeszły, ale poleciał zaraz cichaczem w ulicę, i przypatrzył się tym dwom stopom na piasku, poczem starłszy ich ślad nogą powrócił do domu, próżno usiłując umysł do równowagi przyprowadzić. Przy wieczerzy wszyscy byli milczący, stolnik sam opowiadał dykteryjki, ale niemi śmiechu na usta niczyje wydobyć nie mógł.

Stolnikowa z Justysią poszły się potem modlić, a kasztelan pociągnął gospodarza pod lipę, gdzie prawie milczący przesiedzieli do wschodu księżyca.

Wieczór był cichy, noc zrazu ciemna, spokojna, prawdziwa chwila spoczynku, do koła milczenie snu nad kolebką dziecięcia; potem zszedł zwolna księżyc zarumieniony, jakby się zmęczył w drodze, lekki zarazem zerwał wiaterek, który liśćmi drzew poruszał i powoli rozjaśniać zaczęło. Długie cienie ukośne powlokły się pod pniami starych lip, a smugi srebrnego światła drżącego przekroiły pasami ciemności. W końcu alei szpalerowej, którą ztąd widać było, wyglądał wielki księżyc przecięty wąskim na pół obłoczkiem, jakby ze związaną głową.

— Chodźmy — odezwał się po cichu kasztelan.

W miarę jak stanowcza zbliżała się chwila, stolnik znacznie stracił ochotę towarzyszenia kasztelanowi. Te dwie stopy na piasku przyminały mu się w sposób nieprzyjemny, i byłby chętnie się cofnął, ale pokazać obawy nie chciał i po cichu powlókł się za kasztelanem, który szedł jak w gorączce.

Rzuciwszy okiem w ulicę, przekonali się prędko oba, że w niej nie było nikogo; księżyc podnoszący się z wolna oświetlał ją całą wzdłuż, a między nim a niemi ani gałązki nawet. Zbliżali się zwalniając kroku

już prawie do końca szpaleru, gdy się kasztelan zatrzymał, stolnik drgnął mimowolnie, milczeli oba. Gospodarz już miał usta otworzyć chcąc powiedzieć: a widzisz panie kasztelanie, gdy głos mu zamarł na wargach nagle, oczy stanęły słupem. Jakby chmurka leciuchna przesunęła się pomiędzy księżycem a niemi, odpadła ku ziemi, poczęła się dziwnie zgęszczać, i w oczach ich stanęła nareszcie postacią wyraźną niewieścią, pół przezroczystą, lekką, nie ziemską. Stolnik przecierał oczy, kasztelan posunął się żywo, niepodobna było go opuścić.

Poszli więc oba, ale Barciński nieco wolniejszym krokiem.

Byli już tak blisko, że nieśmiało podnosząc wzrok w tę stronę stolnik dostrzegł bardzo wyraźnie nieboszczkę kasztelanowę, ale osobliwszym fenomenem jakimś, przez nią widział razem jakby zamglony księżyc. Uśmiechnęła się.

Wiatr zaszeleściał w gałęziach dziwnie, stolnik drgnął, głos łagodny bardzo, miły, cichy, ale wyraźny mówił do nich.

— Nie ściągajcie mnie na ziemię, widok jej obudza tęsknotę, przypomina cierpienie... Czemu nie idziecie o własnych siłach, czyż my wam potrzebni, my co już tego przebytego żywota tak nie rozumiemy, jak człowiek dojrzały smutków i radości swojego dzieciętwa?... Mój miły, czyżeś mnie nie zrozumiał, czyżeś mi nie uwierzył? Czytam w duszy twej! Oburzasz się na mnie. Ale miłość ziemska jest wcale inną od niebiańskiej, jest zazdrosną, bo jest egoizmu pełną; dla tego gdym wspomniała kobietę, oburzyłeś się. My ztamtąd patrząc na was litujemy się nad wami. Tu dwie dusze tylko mogą się kochać, bo miłość wasza starczy zaledwo na jedno kochanie, tam kochają się wszystkie i wszystkie zarówno, i pragną na ziemi i niebie powszechnej, czystej, spokojnej miłości. Nie pojęliście mnie, bo miłość wasza nie jest czystą, kala ją to ciało, które na sobie nosicie, a które z niej czyni namiętność zwierzęcą, ohydną. Niech się twa dusza ukoi, niech serce twe się uleczy i czeka, masz jeszcze obowiązki na ziemi i nie zejdziesz z niej, dopóki ich nie dopełnisz. Gdy ci będę potrzebną, znijdę do ciebie z radą i pomocą...

Obłoczek drżał jakby go wiatr miał porwać lub rozproszyć w powietrzu. Kasztelan wyciągnął ręce ku niemu i stanął w miejscu znowu, ale już głosu słychać nie było, tylko jakby wyciągnięta dłoń spoczęła na jego czole i Żeliga pochylił się, ugiął, i padł na ziemię.

Stolnik poskoczył ku niemu, aby go ratować, lecz gdy z trwogą oczy wlepiał w widzenie, postać skinąwszy głową na pożegnanie znikła, a czysty, jasny rąb księżyca po nad gałęziami drzew pokazał się znowu i oświetlił aleję.

Z wielkiego wzruszenia kasztelan był zasłabł, trwało to jednak krótko, natychmiast odzyskał władzę i przytomność. Obaj ze stolnikiem, nie naradzając się nad tem co począć mieli, uklękli się modlić i zmówili Anioł Pański.

Nie mogąc do siebie wyrzec słowa jeszcze, noga za nogą, oglądając się, wysunęli się ze szpaleru. Dopiero gdy siedli na ławce pod lipą stolnik rzekł po cichu:

— Wracam *activitatem* kasztelanowi, ale jeżeli wiem co to jest... Ruszył ramionami. W życiu mojem nigdy mi się nic podobnego nie przytrafiło, i prawdę rzekłszy, miałem podobne historje za wymysły zabobonnych, którym się przy rozgorączkowaniu lada co przywiduje. Ale teraz no jużem głupi i Pana Boga chwalę.

— Kochany stolniku — odparł wzruszenia pełnym głosem kasztelan — są cuda, ale one się nie przytrafiają ani ludziom siedzącym za stołem przy kieliszku, ani liczącym grosze, ani tym co leżą w błocie, ani takim, co mają oczy by nie widzieli i uszy by nie słyszeli, tylko ziemski szwargot i brudy nasze. Nie zawsze jednakim jest człowiek, sami to przecież uznajemy; są chwile, w których jaśniej widzi, lepiej rzeczy rozumi, pojmuje wyraźniej, czemużby władze nasze nie miały się w nadzwyczajnych momentach podnieść aż do widzenia rzeczy niewidzialnych i wkroczenia w świat duchów? Któż nam zaręczyć może, iż one nas nie otaczają niewidome nam, wśród życia powszedniego? Sąć przecie narzędzia ludzkie spotęgowujące wzrok, z pomocą których spostrzegamy to, co gołem okiem widzianem być nie mogło? dla czegoż by stan duszy nie miał dla niej, a przez nią dla ciała nawet, być takiem narzędziem? Potrzeba nauczyć się wierzyć i nie zdumiewać niczemu. Otaczają nas cuda, my je sami do swej miary obcinamy, bo się ich lękamy podobno więcej, niż pożądamy.

— Ja już milczę — odparł stolnik — oczy me widziały, uszy słuchały. Ale mój kasztelanie kochany — dodał — bądź co bądź ja się boję aby to między ludzi się nie rozeszło; kobietom głowy się pozawracają; Justysia i tak bardzo jest do przeczuć i wizyj skłonna, ja się tego obawiam dla niej. Żyjmy już powszednim chlebem, a wola Boża niech się stanie z nami.

— Podzielam twe zdanie — rzekł kasztelan, — nie ma potrzeby żadnej mówić o tem, ani kobietom ani nikomu w świecie. Ja czuję się o wiele teraz spokojniejszym, smutek i żal po Agnusi zostaną mi na zawsze, ale widzę jaśniej, że człowiek stworzony jest do pracy, wezmę się do niej. Zwierzę musiał Pan Bóg głodem i chłodem do roboty zaprządz, człowiek idzie do niej przez rozum znając w niej lekarstwo na wszelkie bole, obowiązek razem i rozkosz. Od jutra zatem dawajcie mi co robić lub jadę i szukam pracy, bo mi ona jak chleb potrzebna.

— Nicbym ja przeciwko temu nie miał — rzekł stolnik — ale kasztelanie na świeże wspomnienie smutków sam jeden jeszcze nie jedź, nic potem by to było. Znajdziemy jakieś zajęcie, księgi. Poszlę po pożyczenie, jeśli się zda, do Chełma, to mi tam bodaj bazyljański przeor nie odmówi, choćby furę przysłać.

— Na cóż słać, ja jutro sam starym obyczajem jako Żeliga ruszę do Chełma i księgi sobie wybiorę. Inne mi przysle siostrzan z domu, a w oficynie miejsca i światła dosyć; rozpocznę notować historję domu, której też nam braknie. Wiem dużo tradycyj nigdzie nie zapisywanych od ojca, od krewnych; gotowa praca na dobry czas, bo to tam od kilkuset lat jest się w czem grzebać.

Wstali z ławki żegnając się. Barciński jeszcze poprowadził kasztelana do oficyn, a sam powrócił do swojej sypialni.

Dziwił się bardzo zastawszy w niej p. Marcinowę, która z koronką w ręku chodziła pomięszana i wzruszona, jakby oczekując na męża. Chciał udać wesołego i począł od powitania rubasznego, ale go stolnikowa powstrzymała.

— Nie bałamuć, — rzekła — nie bałamuć i tobie nie do żartów i mnie też. Coście wy tam po nocy robili w tej ulicy z kasztelanem? hę?

Stolnik się zmięszał.

— Cóżeśmy mieli robić, chodziliśmy.

— Czego się jegomość kryjesz przedemną, tam coś się pokazuje?

— A no księżyc, — rzekł stolnik — patrzaliśmy na księżyc, prorokując pogodę, *tertia, quarta qualis, tota luna talis,* mam pasję to obserwować i sprawdzać.

Stolnikowa aż splunęła.

— Co waść przedemną robisz sekreta? zawołała.

Barciński, im więcej nań nalegała, postanowił się trzymać mocniej.

— Jakie sekreta? żadnych nie mam, dajcie mi pokój, uroiło się wam coś.

— No to się uroiło, odparła pani Barcińska — ale i ja coś wiem, czego się też jegomość odemnie nie dowiesz.

Zabierała się z tem wychodzić, gdy ją stolnik wstrzymał całując czule w rękę.

— O! o! niechże się moja panna nie gniewa na mnie.

— Niechże jegomość mi też lepiej wierzy i ufa.

— Ale.

— Nie ma ale, mąż przed żoną, a żona przed mężem sekretów mieć nie powinni. Ja jegomości tylko tyle powiem, że stałam w ulicy, w drugim końcu, kiedyście tam z kimeś rozmawiali. Kasztelan kląkł, w rękę całował, potem się pochylił, a jegomość go ratowałeś. I doskonale widziałam trzecią osobę, która potem nie wiem gdzie i jak się podziała. Któż to był?

Stolnik ręce załamał.

— Widziałaś to jejmość? zawołał.

— A no tak jak na was patrzę!

— I cóż o tem myślisz?

— Alboż wiem, kto to był.

— Agnusia! zawołał głosem stłumionym stolnik.

Przerażona pani Marcinowa upadła aż na krzesło.

— Wszelki duch pana Boga chwali.

— A no tak! dodał Barciński, stała się rzecz niepojęta. Wczoraj to widzenie ukazało się po raz pierwszy, nie chciałem wierzyć mu, mimo śladu na piasku. Otóżem dziś na nie własnemi oczyma patrzył.

Zniżywszy głos począł się już Barciński spowiadać przed żoną i wygadał się ze wszystkim, zaklinając tylko, żeby przed kasztelanem tak się trzymała, jakby o niczem nie wiedziała. Stolnikowa drżała, płakała, modliła się, gadali długo, naradzali się, narzekali, boleli, naostatek gdy pierwsze kury zapiały, pani Barcińska odeszła po cichu, a

stolnik kląkł i sen go zmorzył już na modlitwie. Dopiero o białym dniu ranny chłodek przebudził, i rozebrawszy się położył do łóżka, ale w łóżku sen nie brał i gdy słońce się się ukazało, zawołał chłopca aby mu polewki przyniósł.

Od niego się dowiedział, że Żeliga piesz poszedł o świcie do Chełma, tak wesół i w dobrym humorze, jak go oddawna niewidziano.

Na stole w oficynie leżała kartka:

„Proszę z objadem nie czekać, a na wieczerzy się odrobię za oboje, bo mi piesza przechadzka da apetyt.“

Pół roku upłynęło od tego pamiętnego wieczoru, a w Barcinie się prawie nic nie zmieniło, mieszkał sobie Żeliga w oficynie obłożony ogromnemi foljałami, na stoliku stosy papierów, po kątach olbrzymie rulony genealogji; cały Boży dzień w tym trudzie, z piórem, i dziwna rzecz gdy drudzy od tej stęschlizny i ślęczenia chudną i żółkną, on jakby odmłodniał przy zajęciu. Prawda że kilka godzin w dniu było na przechadzkę, na rozmowy z gospodarzami, a niekiedy też i sąsiad zawitał.

O owej nadzwyczajnej wizji, objawieniu, rozmowie z duchem nieboszczki, rzadko kiedy napomknięto; unikali oba zarówno rozmowy o tym przedmiocie. Nikt też już ich nie śmiał o to badać, nawet stolnikowa milczała. Na dobry rachunek trzy osoby tylko wiedziało co to było i jak się przytrafiło, a przecież mimo, że wszystkie zdawały się utrzymywać tajemnicę, po sąsiedztwie chodziły jakieś głuche wieści, nie wiedzieć zkąd początek biorące, o ukazywaniu się ducha nieboszczki kasztelanowej w Barcinie.

Ale że stolnikostwo oboje milcz li i na insynuacje o tem nie odpowiadali, nie śmiano ich badać. Wiedziało jednak sąsiedztwo, że jakaś tam była tajemnica, szanowano ją. Tylko z domysłów, półsłówek, podchwyconych dworskich gawęd, podsłuchanych przez sługi może rozmów, zbudowała się bajka dziwaczna o widmie na ulicy, o wyciśniętym śladzie stóp, o tem że dusza nieboszczki prosiła o modliwy. Niektórzy dodawali, że ukazała się obciążona kajdankami, ze swędem siarki, że wyznała jakiś ciężki grzech itd. i t.d. Ale z czasem nawet cuda i dziwy się pospolitują; gdy nikt nie mógł dotrzeć do gruntu, dowiedzieć się istoty rzeczy, powoli poszła cała historja rzeczy w zapomnienie, a silniejsze umysły śmiały się z niej jako z babskiego konceptu. We dworze jednak, po zachodzie słońca, szczególniej zaś o księżycu do szpaleru nikt nie śmiał zajrzeć oprócz kasztelana, który tam spokojnie zwykł był pacierz odmawiać. Nawet stolnik unikał tej przechadzki. Miejsce gdzie na piasku wyryły się były stóp ślady, tak instynktowo omijali wszyscy, że do jesieni porosło naprzód trawą, a potem niewiedzieć zkąd, pewnie od wiatru przyniesione nasienie pospolitej lilji szafirowej, która rośnie po ogrodach, rozkrzewiło się na niem i poszanowane wybujało w kwiat piękny.

Stolnik miał podejrzenie na kasztelana, że go tam zasadził, kasztelan posądzał stolnika, stolnikowa ich obu, ale się wzajem o to nie rozpytywali. (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(Ciąg dalszy).

W domu Czartoryskich znalazł Karpiński bardzo łaskawe przyjęcie, ale nie zastał tej wesołości i zabaw, jakiemi się dom ten zawsze odznaczał. Smutnie on teraz wyglądał po niedawnej stracie księżniczki Teresy, która grzejąc się raz przy kominku, nie spostrzegła, jak się zajęły jej suknie i zginęła w płomieniach.

Wkrótce po przyjeździe poety przypadła rocznica imienin zmarłej księżniczki, i Karpiński napisał z tej okoliczności wiersz, który się powszechnie podobał, a przedewszystkiem zjednał mu przychylność księżnej. W tym wierszu wstępował niejako do literackiego klanu Czartoryskich, i przyjmował barwy puławskiej poezji.

Książę generał z. p. był marszałkiem trybunału litewskiego, więc gdy się miała rozpocząć kadencja trybunalska, wyjechał z Warszawy z ogromnym dworem do Grodna i zabrał z sobą Karpińskiego, zamianowawszy go swoim sekretarzem do spraw politycznych, i oddawszy pod rząd jego 12 pokojowców ze szlacheckiej młodzieży. Oprócz niego miał książę dwóch innych sekretarzy: Zawistowskiego do spraw ekonomicznych, i Skowrońskiego do zagranicznych. W Grodnie napisał Karpiński cztery następujące wiersze: 1) O sprawiedliwości do J. O. księcia Czartoryskiego podczas zaczęcia trybunału, 2) O wielkości Boga i nikczemności człowieka, 3) Głos zabitego do sądu, 4) Z okoliczności czasów Czarnieckiego.

Pierwszy wiersz napisany dość ciężko i sucho, przedstawiał księciu dwie strony jego sędziowskiego stanowiska, wesołą i smutną. Jedna strona medalu — to spokój, szczęście, dobrobyt rozkwitający pod panowaniem sprawiedliwości, druga—to widok wstydu, nędzy, zbrodni i hańby upokorzonych i czekających kary. Wiersz o wielkości Boga, mający daleko więcej zalet poetycznych i pokazany jeszcze w rękopisie księciu, bardzo mu się podobał; nie podobało mu się tylko to, że został przypisany królowi. „Głos zabitego do sądu“ napisany był z powodu wniesionej na trybunał sprawy niejakiego Kaszyca, który zabił swego synowca, a przekupiwszy większą połowę trybunału, był pewnym uwolnienia od wieży. „Głos zabitego“ odczytany sędziom takie wywarł na nich wrażenie, że skazali winowajcę na karę, jaka mu się z prawa należała. Wiersz wreszcie z okoliczności czasów Czarnieckiego wymierzony był przeciw zniewieściałości i próżniactwu ówczesnej złotej młodzieży. W ogóle Karpiński w tym nowym perjodzie swego życia zarzucił zupełnie sielankę, i brał temata z życia obywatelskiego narodu, temata, które mniej może nadawały się do rodzaju jego talentu, ale które wskazywały, że i poeta przejął się ogólnym duchem reformy i pragnął w miarę sił swoich przyczyniać się do niej.

W Wilnie, dokąd przejechano na drugą kadencję trybunalską, napisał Karpiński na dzień urodzin księcia wiersz: „O powinnościach obywatela.“ Przywiązanie poety do protektora swego z każdym dniem wzrastało, własnemi bowiem widział oczami, jak księcia żadne względy nie zdołały sprowadzić z drogi sprawiedliwości, jak długo spierał się on z władzą duchowną w sprawie księdza Ogonowskiego, chcąc, aby się zadość stało sprawiedliwości, jak pod laską jego własny ojciec, wojewoda ruski, przegrał sprawę, jak możni panowie, Sapieha, Tyzenhaus, musieli więzieniem i grzywnami odpokutować za krzywdy wyrządzone prostym śmiertelnikom. Wszystko to widział poeta, a nie przenikał wcale, ile w tem wszystkiem mogło być wpływu starego księcia wojewody, tego samego właśnie, co przegrał sprawę i co listownie za to podziękował synowi. To też w wierszu powyżej wymienionym nie ma pochlebstwa na zwyczajną modłę chwalb ówczesnych, i czuć, że poeta wierzy w to, co pisze. Księciu, aczkolwiek przyzwyczajony był do hyperbolicznych pochwał, bardzo się ów wiersz podobał: tem więcej ceny mogła mieć dla niego pochwała tam zawarta, im szczerszym i umiarkowańszym była wypowiedziana językiem. Karpińskiego zaczął traktować nie jak swego urzędnika, dworzanina, ale jak przyjaciela, rozmawiał z nim poufnie w licznych zgromadzeniach, i naturalnie za przykładem pańskim wnet inni zaczęli poetę otaczać względami. Ale nie długo trwała ta pogoda łaski pańskiej, a zawsze osoba króla była powodem do jej oziębienia. Przyszła do Wilna już drukowana mowa, którą miał król przy otwarciu Towarzystwa ksiąg elementarnych. Czytano ją na pokojach książęcych i uznano za najgorszą, prawdopodobnie aby trafić w myśl księcia, kiedy wszedł Karpiński. „Otóż sędzia przyzwoity — zawołał książę — patrz jaką to mowę miał król do Towarzystwa.“ „Kiedy mowę tę przeczytałem, spytany od księcia, co by mi się zdawało, odpowiedziałem: (jak mi się zdało) że była dobrą. Książę się odwrócił, a faworyt księcia, sekretarz Skowroński, przybiegł do mnie i rzecze: Bój się Boga, książę i my wszyscy już tę mowę ganiliśmy, a ty ją chwalisz! Odpowiedziałem, że ja lubię mówić co myślę*).“ Dość było, tak przynajmniej utrzymuje Karpiński, tego drobnego zdarzenia, aby oziębić łaskę książęcą. Książę nie okazywał mu już tych, co przedtem, względów, a spostrzegłszy to wszyscy, którzy się przed chwilą cisnęli do Karpińskiego, odwrócili się od niego i ponieśli w inną stronę oświadczenia swojej przyjaźni. Mogły już wtedy przypomnieć się poecie słowa Piaseckiego o łasce pańskiej, ale nie tracił on dobrej myśli i nie przestawał wierzyć, że na tej łasce zbuduje przyszłość swoją.

Po powrocie do Warszawy wydał Karpiński w r. 1782 swoje pismo „O wymowie w prozie albo w wierszu,“ napisane w formie listu do Towarzystwa ksiąg elementarnych. Praca ta jakkolwiek bardzo niesystematyczna, zawierała w sobie nowe i zdrowe wskazówki. Główną myślą jej jest, że martwe przepisy nie stworzą pięknej rzeczy, że „wymowa (pod wymową rozumie wszelką twórczość w słowie) jest jak ów ptak bujny, który traci zaraz z czerstwości i piękności swojej, skoro go tylko w klatce zamknięto.“ Serce i natura — oto dwa główne źródła wymowy; pierwszego trzeba słuchać w wyrażaniu uczuć, drugą pojmować i naśladować w wyobrażaniu świata zewnętrznego. Piękne wzory są potrzebne, są one bowiem żywemi, a nie martwemi przepisami, ale nie trzeba ich niewolniczo naśladować. Dla tego powstaje przeciw wprowadzaniu całego aparatu mitologicznego do naszej poezji i prozy. „Prócz umiejących mitologję, których proporcja może jak jeden do dziesięciu ty-

*) Pam. str. 168.

sięcy będzie, kto proszę zrozumie naszych poetów dzieła? Zaszły śluby małżeństwa jakiego? już zaraz poeta wszystkich bogów i bogiń w nikczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił: już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają i Merkury coś bredzi nie do rzeczy. Umarł kto? idą szeregiem Plutony, Prozerpiny, Parki. Wojskowy kto? już on Marsa albo Bellony synem*).“ Widzimy zatem, że poeta w swoim traktacie jest przedstawicielem zdrowego kierunku, wręcz przeciwnego temu, jaki był wówczas panującym szczególnie w sferze niższych talentów. Sztucznej, konwencjonalnej piękności przeciwstawia piękność natury, niewolniczemu poddaniu się przepisom — swobodny polot wyobraźni, przesadnej uroczystości języka — serdeczną prostotę i naturalność. O ile sam poeta w utworach swoich wiernym był teorji, którą głosił, to się okaże przy ocenie jego poezji; tu tylko chcemy zaznaczyć, że on pierwszy niejako instynktownie przemówił w imieniu kierunku, który później pod nazwą romantyzmu taką walkę stoczył z pseudoklasycyzmem i tak stanowcze odniósł zwycięstwo.

Pismo o wymowie bardzo się podobało królowi i jego bratu prymasowi. Posłali oni do Karpińskiego sekretarza komisji edukacyjnej Gwintowta z zapytaniem, czy nie zechce napisać chrestomatji dla szkół narodowych i ofiarowywali mu za to 300 dukatów. Tak opowiada Karpiński, należy jednak mniemać, że się pomylił co do wysokości zapłaty, najwyższa bowiem nagroda, jaką Towarzystwo elementarne dawało za książki szkolne, wynosiła tylko 150 dukatów. Nie napisał on jednak tej książki, ponieważ Piramowicz, który od kilku już lat nad podobnem dziełem pracował, miał go prosić, aby mu nie robił swoją pracą konkurencji.

W tym czasie zaznajomił się bliżej Karpiński z Kniaźninem. Obaj poeci, obaj ubodzy i pod jednym dachem mieszkający, musieli się zbliżyć do siebie. Jednaki przytem był kierunek ich poetyckiego talentu; i Kniaźnin był tak wyłącznie lirykiem, jak Karpiński i melodyjnością wiersza dorównywał śpiewakowi Justyny, ale na tem się kończy podobieństwo. Kniaźnin nie miał wdzięku, prostoty i tej prawie dziecinnej naiwności Karpińskiego. Muza jego przytem opiewając ciągle, a prawie wyłącznie, wdzięki, cnoty, smutki i rozrywki rodziny Czartoryskich, pragnąc tylko jej się podobać, dla niej być zrozumiałą, nie mogła mieć wyższego i swobodniejszego polotu. To też utwory jego, jeżeli były z przyjemnością czytywane w gronie książęcej rodziny i jej przyjaciół, po za tem kołem mało się podobały. Poeci, zbliżywszy się do siebie, rozmawiali o tem, i potulny Kniaźnin chętnie przyjmował rady od Karpińskiego, który czuł się, i słusznie, wyższym od niego. Było to już po napisaniu listu o wymowie, rady za tem Karpińskiego, dawane Kniaźninowi, nie były improwizowane, a przeciwnie obmyślane i bardzo trafne. Przedewszystkiem zalecał mu więcej prostoty w wyrażaniu: „Radziłem mu, ażeby więcej prostej a tkliwej natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą.“ Była to wyborna rada, i należała się nietylko Kniaźninowi, ale całej ówczesnej poezji, z wyjątkiem satyr i bajek, które jedynie wolne były od pewnej nadętości i pompatyczności stylu. Co się tyczy Kniaźnina, to rady Karpińskiego nie przebrzmiały dlań bez pożytku, i w „Żalach Orfeusza nad Eurydyką,“ potem napisanych, więcej jest naturalności i prostoty jak we wszystkich innych utworach tego poety.

Książę miał w Warszawie bibljotekę, w której wielki panował nieporządek, i po przyjeździe do Warszawy oddał ją Karpińskiemu do uporządkowania. Karpiński uporządkowawszy ją, i porównawszy to, co było z dawnym katalogiem, przekonał się, że wielu książek brakło. Naturalnie oznajmił o tem księciu. Bibljoteka była dotychczas w zawiadywaniu sekretarza Skowrońskiego, więc książę go publicznie sfukał za niedozór. Skowroński po odejściu księcia w pogardliwy sposób odezwał się do Karpińskiego i nazwał go „kochaneczkiem.“ Karpiński nadzwyczaj drażliwy na wszelkie uchybienie, nie pozostał mu dłużnym i odesłał go do lokajów z podobną poufałością. Nastąpiło pomiędzy sekretarzami zupełne zerwanie, ale Skowroński był faworytem pańskim, znał słabości swego pana, umiał w nie trafiać, kiedy Karpiński był najzupełniej pozbawiony tej zdolności. Łatwo więc można było przewidzieć rezultat tej niezgody: Skowroński starał się wyrugować naszego poetę z łaski księcia, umiał go zapewne przedstawić jako darmozjada z wielkiemi pretensjami, chcącego za pan brat być ze swoim protektorem, i udało mu się to tem łatwiej, że księciu oddawna nie podobała się w Karpińskim chęć zbliżenia się do króla. Ale jakże tu pozbyć się człowieka, którego się wezwało z dalekiej okolicy, który porzucił tam gospodarkę, naraził się może na wielkie straty, a to wszystko licząc na słowo pańskie, że nie jest zawodne? Dawał mu raz książę do zrozumienia, że nie przypuszcza, aby poeta chciał na zawsze pozostać w jego domu i aby nie powrócił do swoich stron, i pytał go: „kiedy powrócisz do swojej Galicji, cóż tam będziesz o Warszawie i domu moim gadał?“ Karpiński draśnięty tem pytaniem, odpowiedział, że będzie gadał, iż książę nie ma żony, ponieważ księżna od śmierci córki prawie ciągle żyła w odosobnieniu, ale właściwą odpowiedzią na to pytanie był sławny „Powrót z Warszawy,“ w parę lat potem napisany. Znając drażliwość i dumę Karpińskiego, można się dziwić, że po tak wyraźnem wyproszeniu nie opuścił zaraz domu księcia, ale był on szczerze i mocno przywiązany do tego człowieka i sądził zapewne, że chwilowy wpływ intryg Skowrońskiego minie, i książę znów go obdarzy tą szczerą przyjaźnią, jaką mu przedtem okazywał. Tak się jednak nie stało; książę chciał się koniecznie pozbyć Karpińskiego, a czy oprócz intryg domowych były inne jeszcze przyczyny, które tę chęć wywołały, tego ze znanych mi świadectw dobadać się nie umiem. Winienem też w interesie prawdy dodać, że wszystko cokolwiek wiemy o nieporozumieniu pomiędzy księciem a Karpińskim, pochodzi od tego ostatniego, być więc bardzo może, że wysłuchawszy drugą stronę (gdyby była możność po temu), znaleźlibyśmy coś, co choć w części usprawiedliwiałoby postępowanie księcia z naszym poetą.

Bądź co bądź, po niejakim czasie oświadczył książę Karpińskiemu, że książę Sanguszko, wojewoda wołyński, prosi poetę, aby chciał z jego synem pojechać za granicę i ofiarowuje bardzo korzystne warunki. Karpiński ze ściśniętem sercem poszedł do Sanguszki i przekonał się, że warunki w istocie były świetne: prócz znacznej pensji rocznej, po czteroletnim wojażu ofiarował Sanguszko w dożywocie wieś, niosącą do 8 tysięcy złotych dochodu. Otóż i ów byt niezależny, do którego poeta tak wzdychał; ale dzieliły go od niego cztery lata ciężkiej zależności, potrzeba było przytem opuścić Warszawę, do której przywykł, ukształcone towarzystwo, w którem zasmakował, rozstać się z księciem, w którym przywykł był widzieć swego mecenasa, którego w dziecinny jakiś sposób pokochał. Gdy potrzeba było dać stanowczą odpowiedź, żal go objął, że straci ulubionego pana, i odmówił Sanguszce. (C. d. n)

*) Zabawki wierszem i prozą. 1790. Warszawa. Tom II. str. 32.

O pracy umysłowej.

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Wszystkie rodzaje naszej pracy fizycznej — czy to będzie kucie młotem, rąbanie drzewa, noszenie ciężarów, czy też tylko bieganie po górach, pływanie lub szermierstwo — jednem słowem cała nasza zewnętrzna działalność, jest pracą muskułów czyli mięśni.

Wiadomo, że dla całego naszego organizmu rusztowanie stanowi szkielet kostny. Do niego przyczepiają się wszystkie inne organy. Tylko mózg i mlecz pacierzowy mieszczą się wewnątrz kości, jakby w kościanej szkatułce — inne zaś organa, jak: muskuły, błony, wnętrzności, żyły i nerwy, wszystko to podtrzymuje się wzajemnie, znajdując punkt oparcia lub przyczepienia w kościach szkieletu.

Praca, jaką wykonywa żołądek trawiąc pokarmy, albo serce, rozsyłając krew po ciele, dzieje się niezależnie od naszej woli. Niepotrzebujemy się kłopotać o specjalność naszych żołądków lub naszych serc — czasami spełnią swoją powinność sumienniej, aniżeli my nieraz spełniamy te powinności, które od naszej woli zawisły. Do tych ostatnich, należą właśnie wszelkie rodzaje zewnętrznej pracy muskularnej. Przedewszystkiem zaś muskuły rąk najwięcej są uzdolnione do wiernego wykonywania rozkazów naszej woli.

Cóż się dzieje, kiedy chcę zgiąć rękę? Rozkaz woli z mózgu przebiega po nerwie, jak po drucie telegraficznym, do tego mięśnia, który się ma skurczyć — i mięsień kurczy się. Wskutek tego, kości ramienia i przedramienia, do których się przyczepiają końce tego mięśnia, zbliżają się, ponieważ w łokciu są osadzone ruchomo, jak na zawiasie — i ręka zostaje zgięta.

Jeśli podobne doświadczenie zechcemy powtarzać przez dłuższy czas, zwłaszcza, trzymając w ręku ciężar, to uczujemy zmęczenie. Czy będzie to zmęczenie naszej woli? Bynajmniej. Wola gotowa ciągle wydawać rozkazy — ale cóż z tego, kiedy ręka nie słucha, i znużona opada bezwładnie.

Dlaczego opada? i dlaczego czujemy zmęczenie? Zaraz to zobaczymy.

Żaden organ ciała nie może żyć i działać, jeśli do niego krew nie dopływa. Podwiązawszy tętnice, przynoszące krew do danego palca, sprowadzimy uschnięcie palca, — tak, że w krótkim czasie stanie się niezdolnym do życia, nieposłusznym woli — stanie się poprostu czemś zewnętrznem względem naszego ciała, nie organem, ale rzeczą martwą. To samo byłoby z całą ręką, gdybyśmy wstrzymali przypływ krwi; to samo z każ-

dym innym organem. Widocznie więc, krew jest owym płynem ożywczym, który przepływając po całem ciele w elastycznych rurkach, zapewnia łączność i trwałość jego spraw życiowych — warunkuje życie organizmu.

W ciele naszem, mamy dwojakiego rodzaju krew: czerwoną i czarną, i dwojakie rurki do jej przebiegu służące: tętnice i żyły. Wszystkie zaś zbierają się w sercu jako ogólnym zbiorniku. Krew czerwona przynosi muskułom pokarm — krew czarna odnosi wydzieliny. Serce, reguluje krążenie jednej i drugiej: czerwoną, bierze z płuc i rozsyła organom dla utrzymania ich żywności, czarną, odbiera od organów i wysyła do płuc, gdzie przez zetknięcie z powietrzem, staje się napowrót pożywną; jednocześnie zaś, podczas krążenia, żołądek, który przetrawione pokarmy zamienił w sok odżywczy, podtrzymuje ilość krwi pożywnej, zmniejszającą się w skutek pracy organizmu. Ilość krwi pożywnej zmniejsza się, ponieważ muskuł zabiera od niej nowe cząstki a stare oddaje krwi czarnej, która je unosi jako niepotrzebne. Działanie to nosi nazwę: przemiany materji, odbywającej się w nas bezustannie, do ostatniej chwili życia. Najdrobniejszy ruch, każde kiwnięcie palcem, każde słowo wymówione ustami, zużywa pewną ilość krwi i pociąga za sobą konieczność odnowienia jej przez jedzenie, picie i oddychanie. Jedzenie, daje nam pokarm stały — picie — płynny, a oddychanie, gazowy. Tym sposobem strata krwi zostaje wynagrodzoną, i każda cząstka naszego ciała otrzymuje z serca ilość krwi potrzebną jej do życia. Jeśli np. weźmiemy pod uwagę pięć palców z jednej ręki, to do każdego z nich dopływa tyle krwi świeżej z serca, ile jej potrzeba dla utrzymania palców przy życiu; jeśli zachowując cztery palce w spokoju, piątym zacznę poruszać przez czas dłuższy, zginać go i wyprostowywać, czyli kurczyć i wyciągać naprzemian jego mięśnie, to palec ten prędzej wyczerpie przeznaczoną dla niego ilość krwi pożywnej i uczujemy w nim brak krwi pożywnej, brak siły, czyli zmęczenie — podczas gdy inne palce, które nie robiły żadnych nadużyć i nadesłaną im krew konsumowały ekonomicznie, pozostaną nie zmęczonemi. Toż samo będzie z całą ręką, jeśli będę ją forsować, zostawiając drugą w bezczynności. Ale uważmy co będzie dalej, po takiem wysileniu; palec lub cała ręka, którą pracowaliśmy, zaczerwieni się, żyły nabiegają krwią— widocznie więc przypływ krwi został powiększony. Im więcej ręka będzie pracować, tem więcej krwi będzie do niej napływać, tem więcej muskuły otrzymywać będą pokarmu, a tem samem, tem więcej będą się rozrastać.

Doszliśmy wię do stwierdzenia faktu, że w skutek pracy organ pracujący rozrasta się. Porównywając białe ręce damy salonowej ze spracowaną ręką rolnika lub kowala, będziemy mieli dostateczny dowód powyżej wyrażonej prawdy. Streszczając to, com przed chwilą powiedział, dochodzimy do następujących pewników fizjologicznych:

Każdy organ, ażeby żyć, potrzebuje krwi — Organ pracujący potrzebuje jej więcej, aniżeli w spoczynku będący.

Brak krwi pożywnej, wyradza poczucie zmęczenia — i nakoniec:

Praca danego organu powoduje większy jego rozrost.

* * *

Zapytajmy się teraz, jaki będzie stosunek tych praw fizjologicznych do pracy umysłowej? Czy praca umysłowa ulega tym samym prawom? czy i ona ma swój organ cielesny? Ważne te pytania rozstrzygnięte zostały dopiero w ostatnich czasach. Pierwej sądzono za przykładem Descart'a i Leibnitza, że ciało i duch, są to dwie wprost przeciwne i najzupełniej niezależne od siebie istoty. Dziś już najpospolitsze zjawiska nie pozwalają na przyjęcie takiej hypotezy; widzimy bowiem, że nietylko ciało jest zależnem od duszy, ale i dusza zależną jest od ciała — że organizm, że człowiek żywy, jest jedną nierozdzielną całością ducha i materji.

Zauważano, że pracując umysłowo, męczymy się podobnie jak pracując fizycznie, że u ludzi pracujących umysłowo, mózg bywa więcej rozwinięty, że u zwierząt przez ścinanie płatów mózgu sprawiamy stopniową utratę władz umysłowych, które powracają napowrót, w miarę jak massa mózgowa odrasta; że brak krwi w mózgu tak samo zawiesza pracę umysłową, jak brak krwi w mięśniach zawiesza pracę mechaniczną.

Wszystkie te spostrzeżenia zyskały rozumową podstawę od czasu, gdy prace fizjologów, a w szczególności ostatnie doświadczenia Byassona wykazały, że przy odosobnionej pracy umysłu, krew zużywa się podobnie, jak przy pracy mięśniowej. Różnica zaś związków chemicznych, wydzielonych, raz, po całodziennej pracy umysłu, drugi raz po całodziennej pracy fizycznej, wskazuje na różnicę organów pracujących w pierwszym i drugim razie. Nie ulega zatem wątpliwości, że organem czynności duchowych jest mózg, i że czynność ta tak samo zużywa krew, jak czynność muskułów. Obliczono nawet, że mózg potrzebuje średnio od $^1/_5$ do $^1/_3$ całej ilości krwi wysełanej przez serce (Lewes), że zatem stosunkowo zużywa bardzo znaczną ilość krwi. Najmniejszą zmianę w dopływie krwi mózg natychmiast odczuwa, gdyż zmiana taka sprowadza zaraz zmianę w jego funkcjach, czyli w naszem życiu duchowem. Wytężona praca umysłowa wyczerpuje krew, i to nam tłómaczy uczucie zmęczenia, jakiego wówczas doznajemy. Tym sposobem objawy zmęczenia umysłowego i fizycznego, sprowadzają się do jednej przyczyny: wyczerpania krwi a z tąd braku sił. Powolny lub nagły ubytek krwi przypływającej do mózgu, sprowadza senność i utratę świadomości. Ćwiczenie umysłu, powiększając przypływ krwi wywołuje rozrost mózgu, podobnie jak praca fizyczna wywołuje wzrost muskułów. Badania nad czaszkami naszych praojców wykazują liczebnie, stopniowe powiększenie się mózgów ludzkich, od czasów przedhistorycznych, wskutek wzrostu cywilizacji a tem samem pracy umysłowej. Fakt ten jest pełen znaczenia; wykazuje on bowiem, że nie materja stanowi o rozwoju naszej myśli, lecz że przeciwnie, myśl nasza pracując, zmusza mózg do rozrostu i czyni go zdolniejszym do coraz to wyższej działalności. W ten sposób nabyte zdolności, jako do organizacji przywiązane stają się dziedzicznemi, i dlatego to dzisiejsze pokolenia daleko wcześniej dojrzewają pod względem umysłowości.

Ten sam fakt posłuży nam do rozjaśnienia kwestji kobiecej t. j. owego pytania, które przed chwilą pozostawiłem bez odpowiedzi: czy mózg kobiecy już z natury swej niezdolnym jest do systematycznej pracy umysłowej?

Jakże teraz odpowiemy na to pytanie?

Mózg kobiety, biorąc przecięciowo, jest rzeczywiście mniejszy od mózgu męskiego — i z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że kobiety dzisiejsze, biorąc także przecięciowo, mniej są zdolne do systematycznej pracy naukowej. Czego to dowodzi? To dowodzi, że prababki nasze nie ćwiczyły swoich władz duchowych, i po 2-re, że dzisiejsze wychowanie kobiet nie stara się wynagrodzić tego zaniedbania. Gdybyśmy zmienili system wychowania — gdybyśmy dziewczętom dawali tyle sposobności do ćwiczenia władz umysłowych co chłopcom — mielibyśmy po pewnym czasie generację mózgów kobiecych, równie uzdolnionych do pracy.

Jedna tylko uwaga jest w tej sprawie niezbędną. Organizm kobiety nie straci nigdy swych fizjologicznych właściwości, które też na jej pracę umysłową oddziaływać nie przestaną; — właściwości te nie dadzą się usunąć przez wychowanie, i każdy kto, o kwestji kobiecej rozprawiać zamierza, z niemi rachować się powinien.

(Dok. nast)

NINA.

Obrazek z życia

przez

ZOFJĘ R.

(*Ciąg dalszy.*)

Konstanty w pół godziny powrócił, zastał żonę siedzącą w fotelu, poznał jak jest niespokojną, kiedy nawet pomimo tak spóźnionej pory nie szuka wczasu i wypoczynku. Nie powiedział nic przecie jak znalazł Juljusza. Ona pamiętna badawczego wzroku męża, nieśmiała zapytać, o stan zdrowia jego. Po chwili Konstanty zrobił uwagę, że już szarzeje na wschodzie, i prosił żonę by udała się na spoczynek, wszak skarżyła się na ból głowy. I nie rzekłszy ani słowa o Juljuszu, do snu się ułożyli. Nina zacisnęła głowę w poduszki, a łzy gorące polały się jej z oczu. Na tę chwilę pragnęła tylko jednego słowa uspokajającego ją, o drogiem zdrowiu, i tego słowa mieć nie mogła. Nieśmiała pytać męża, lękając się zbudzić w nim podejrzenia, przeczucie jej mówiło, że drażliwa ta struna jest już w nim tknięta; a nie wiedziała, że nienaturalnem w takiem wypadku milczeniem, budzi je właśnie.

Konstanty wchodząc do sypialni, powiedział sobie: nic jej nie powiem, niech sama zapyta. Jeżeli ma dla niego życzliwość tylko taką, jaką mieć powinna dla mego przyjaciela, powinna po takim wypadku zapytać o stan jego zdrowia. Milczenie żony dotknęło go boleśnie. Znużony, gdy już o wschodzie słońca zdrzemał się, nawidziły go sny przykre, i pod uciskiem gniotącej mu piersi zmory, ocknął się z głębokiem westchnieniem. Wiedział, że już nie uśnie, wstał więc cicho by żony nie zbudzić. Zbliżył się do jej łóżka i zapatrzył na uspioną. Serce mu się ścisnęło, i krew zawrzała gniewem. Nabrzmiałe i naczerwienione powieki zdradziły ją, że płakała.

— A więc aż do łez była niespokojną! A nie zapytała o niego? wyrzucił z goryczą. Zakrył ręką oczy, i przycisnął mocno, jak gdyby chciał spędzić z nich obraz ujrzany.

Ranek następny przykry był i ciężki do przebycia dla obojga. Nina nie pytała o Juljusza, Konstanty nie mówił o nim. Nie wiedziała nawet czy leży chory, czy wyszedł w pole, sług pytać nie chciała. Tem tylko uspokajała się, że nie posyłano po lekarza.

Gdy usiedli do stołu, Konstanty zwrócił się do służącego:

— Panu Juljuszowi zanieść objad do jego pokoju.

Nina już dłużej wytrzymać nie mogła.

— On chory? zapytała. Chciała głosowi nadać intonację obojętną, a zrobiła go tylko przytłumionym i drżącym.

— Czyś była o niego tak spokojną, iż dotąd zapomniałaś zapytać, jak się czuje po wczorajszym wypadku? powiedział Konstanty patrząc w oczy żonie.

Ona wzrok spuściła pod badawczem spojrzeniem męża, zmięszała się i nie wiedziała co odpowiedzieć. Było to dla niej uczucie zupełnie nowe, gdyż dotąd, jak myślą sięgała, do dziecinnych nawet lat, nie przypomniała sobie, iżby kiedy znalazła się w kłopocie z odpowiedzią; zawsze miała ją żywą, dowcipną, często ostrą, a bez wyjątku śmiałą. Dziś proste słowa: „Czyś była o niego spokojną", odebrały jej przytomność odpowiedzi. Milczała, Konstanty patrzył na żonę z pod oka, a rysy tego człowieka spokojnego, kochającego i pełnego zaufania, zmieniały się dziwnie, wyrażając oburzenie, żal i zazdrość.

Dzień dowlókł się do końca, i więcej o Juljuszu wzmianki nie było. Nina udając się wieczór do spoczynku, powiedziała sobie: Nie, w takiem życiu nie wytrwam, jutro muszę wiedzieć jak się on ma, a gdy tylko będzie zdrów, musi natychmiast dom nasz opuścić, serce moje rozedrze się, a serce Konstantego powinno odzyskać spokój. O! jakże niedawno mówiła, że serce męża musi pozostać w spokoju, teraz już, musi go odzyskać! Przelękła się, gdyż nie wiedziała, nieumiała zdać sobie sprawy z chwili, kiedy zaszła ta zmiana, kiedy położenie jej tak się pogorszyło! Czyż by stanąwszy na tej drodze nie było odwrotu? Czyż jakaś siła niewidzialna popycha naprzód, i plącze tak przyszłość, iż by się już rozplątać nie dała?

— On musi wyjechać, skoro tylko zdrów będzie. O Boże! a ja niewiem nawet, co się z nim dzieje, może bardzo chory, może potrzebuje pomocy, Konstanty może przez zemstę... A... nie... nie... Odrzuciła myśl uchybiającą mężowi, ale uczuła żal do niego. Nazajutrz męża nie zapytała o Juljusza, wszak wczoraj zapytany nie dał jej odpowiedzi, znieść jednak niepewności dłużej nie mogła, posłała służącego od siebie dowiedzieć się, jak się ma. Przyniósł jej odpowiedź, iż wczoraj czuł mocny ból głowy, lecz po okładach lodem, dziś jest mu lepiej i ma nadzieję, że za dwa dni najdalej osobiście podziękuje za troskliwość.

A więc tak cierpiał bardzo, i Konstanty jej nic o tem nie powiedział, lekarza nie sprowadził! Żal, jaki wczoraj chwilowo uczuła do męża, wzmógł się w sercu. Dzień ten wlókł się nieskończenie długo. Zająć się niczem nie mogła, dziecka prawie nie widziała.

Nad wieczorem kazała osiodłać Ledy, a odesławszy z za bramy służącego, który z rozkazu Konstantego jechał za nią, parę godzin błądziła sama daleko od domu. Każda chwila teraz przebyta z mężem ciężką jej była, obwiniała go o przykrość jakiej doznaje, a musiała się przemagać i panować nad sobą, aby mu tego nie okazać, i nie pogorszyć swego położenia względem niego.

Powróciwszy skarżyła się na zmęczenie, i udała się natychmiast na spoczynek. Później gdy mąż przyszedł, udała że spi, chociaż sen daleko był od jej powiek.

Trzeciego dnia Juljusz opuścił swój pokój, blady był, widocznie po wielkiem cierpieniu. Konstanty teraz ani chwili nie zostawił ich samych. Wychodząc zabierał Juljusza pod rękę i uprowadzał z sobą. Nina tak pragnęła rozmowy z nim sam na sam, w której by go prosiła by odjechał, by ich opuścił na zawsze, by ją zapomniał i nie wiązał przyszłości swojej do jej miłości, której ona już nigdy z serca wydrzeć nie potrafi, iż darmo oczekując całych dwa dni tej chwili, uczuła się dziwnie rozstrojoną i gniewną, tak, iż powiedziała sobie z rodzajem wymówki dla męża a usprawiedliwienia swego.

— Sam niechce dopuścić, abyśmy się rozstali.

Mściwa Nemezys podsłuchała słów tych, i uczyniła tak jak życzyła sobie ta, która tak zuchwale wyzywała do walki przemoc duchową, pod którą teraz upadała.

Tego samego dnia Konstanty zostawił ich we dwoje na wystawie ogrodowej. Słońce dawno już zaszło, znikły złote odblaski, i rąbki chmur już nawet poszarzały, a gwiazdki nieśmiałe ukazały się na niebie. Milczenie chwilowe Nina pierwsza przerwała

— Juljuszu! po wyznaniu ci uczuć moich pierwszą prośbę zanoszę do ciebie, nie odmów, jej przez litość nademną. Opuść mnie, wyjedź, zapomnij, niech ja sama cierpię. Och! już na wieki! Musimy się rozłączyć.

— Jutro wyjadę, dziś jeszcze powiem Konstantemu, że muszę, że wzywają mnie pilne...

— O Boże mój! przerwała Nina łamiąc ręce. Mówisz tak obojętnie! a ja cierpię strasznie na myśl rozstania, cierpię piekielnie!

Juljusz spuścił głowę, i on cierpiał, ale cierpienie chciał zamknąć w duszy, nie wydać się z niem, by nie utrudnić chwili pożegnania, którą czuł, że obecna być musi.

— Ty odjedziesz, zapomnisz, a ja umrę!... namiętnie zawołała Nina.

— Nino! Muszę odjechać, sama wiesz, że muszę odjechać, twój honor wymaga tego. Nina opamiętała się.

— Tak honor i spokój Konstantego, jedź, jedź! — chciała coś więcej mówić, ale łkania stłumiły jej głos

— O mój drogi! zawołała po chwili, wyciągając doń ręce, mój najdroższy, niech ostatnie twe słowo dla mnie będzie słowem miłości, nie napomnienia!

On ujął jej ręce, przyciskał do ust i do piersi, i szeptał prawie gorące wyrazy wiecznego uczucia.

Gdy Nina wymawiała ostatnie słowa i podała ręce Juljuszowi, Konstanty stał we drzwiach niespostrzeżony od nich. Tak w nim krew zawrzała, tak do głowy uderzyła, iż przed oczyma iskry i płomienie ujrzał. Cofnął się krokiem, ale usiąść musiał zaraz na stojącej obok drzwi kanapce. Niewyraźnym szmerem uderzeni odsunęli się od siebie, podnieśli głowy, ale we drzwiach nie ujrzeli już nikogo. Niespokojni przecież byli, i serca biły im gwałtownie. Niemiłe było położenie, i ta chwila była tak przykrą, że zacierała wrażenie poprzedniej. Wtem Konstanty po raz drugi stanął na progu, szaro było już zupełnie, widzieć nie mogli jak był przerażająco blady. Nina pomimo to zadrżała, tknięta trwogą złego przeczucia. Juljuszowi, na chwilę uspione sumienie, pod pieszczonym głosem kochanej kobiety zbudziło się straszną wymówką zdrady przyjaciela. Konstanty przeszedł się kilka razy po wystowie, wszerz i wzdłuż; w końcu stając przed Juljuszem, i kładąc mu rękę na ramieniu, powiedział spokojnym powolnym głosem.

— Panią zostawimy na chwilkę, a sami przejdziemy do twego pokoju, mam z Tobą pomowić.

Głos był spokojny, ale ręka sparta na ramieniu, tak zaciężyła Juljuszowi, iż gdy powstał i szedł za nim, to szedł tak, jak winowajca za sędzią swoim, w ręku którego jego śmierć lub życie!

Nina posostała sama w ciemności. A myśli straszniejsze jedne od drugich, jak furje piekielne szarpały jej serce i sumienie! Ona nie zwiodła się spokojnym głosem męża, widziała katastrofę straszną, nieszczęście wielkie zbliżające się szybko ku niej. Nie wiedziała jeszcze w jakiej ją formie nawidzi, ale czuła je nad głową już zawieszone.

W najwyższym niepokoju przebyła całą godzinę, panowie nie powracali, upływała już druga nękającej samotności. Zwalczona strasznym niepokojem, poszła w głąb domu, odszukała służącego, i jego pytała, czy nie wie dokąd się udali.

Widział jak wchodzili do pokoju pana Juljusza, drzwi zamknęli na klucz, i pan tam dotąd pozostał.

Nina uczuła, jak krew jej w żyłach ścina się. Takie straszne męki przechodziła, iż one już by mogły być wystarczającą karą. Chodziła po salonie, nadsłuchiwała, sama niewiedząc czego nadsłuchuje. Teraz strwożył by ją szmer najmniejszy, drzwi nawet skrzypnięcie, ale cichość grobowa dom zalegała. Dziecię zapłakało w kołysce. Wstrząsła się. Czy i ono przeczuwa nieszczęście?... (Dok. nast.)

Rusałki.

Na wilgotne niebios stropy
Wpłynął blady krąg księżyca —
A drzemiąca srebrem błysła
Pośród siwych mchów krynica.

Zaś po za nią, w głębi jarów,
Tam gdzie bujna paproć rośnie,
Mgła podnosi się z oparów —
Pieśń w niej jakaś brzmi żałośnie.

Księżycowy promień blady
W mgłach rozwiesza srebrne tkanki;
Światłem płynie rój postaci,
W paprociowe strojnych wianki.

Lekkie kształty eteryczne,
I w nieładzie włos rozwiany;
Giną — toną gdzieś w półmroku,
Znów się jawią w mgle świetlanej.

Tak powiewna jak i one
Pieśń rusałek dźwięczy zdala:
Spływa w jeden hymn tęsknoty
Harmonijnych tonów fala.

* * *

„Smutno nam smutno
Ponad krynicą,
Tęskno nam tęskno
W zielonym lesie,
Choć z pleśni rosa
Zmywa nam lico,
Chociaż balsamy
Wiatr dla nas niesie —
Smutno nam smutno
Ponad krynicą,
Tęskno nam tęskno
W zielonym lesie ..

Daremny smutek,
Próżna tęsknota;

Jutrznia zbawienia
Nie zalśni złota!

Czemu nam Bogi
Dały wdzięk róży,
I wlały w usta
Łudzące pieśnie?!
Gorzka ta krasa
Co złemu służy...
Zdradzać pieśniami —
O! to boleśnie!..
Czemu nam Bogi
Dały wdzięk róży,
I wlały w usta
Łudzące pieśnie?!..

Daremny smutek,
Próżna tęsknota:
Jutrznia zbawienia
Nie zalśni złota!

Ktoś się tu zbliża? — siostrzyczki — cyt!
Słodką tęsknoty pieśń rzućmy,
Jeszcze nam łaski nie błysnął świt,
Znów do nas ludźmy. ach ludźmy!"

* * *

Zadrżał kobierzec leśnej stokroci —
Czyjaś go stopa potrąca?
Dziewczyna szuka kwiatu paproci,
Szuka pod pełnią miesiąca.

Słodycz marzenia czy żar tęsknoty
Budzi odwagi w niej siły;
Śladem jej leci robaczek złoty,
Lampa samotnej mogiły...

Nie chodź dziewczyno
Biała i cicha,
Lasu gęstwiną —
Rusałka czycha!

Nie chodź dziewczyno
Bosa, lękliwa,
Lasu gęstwiną --
Tam woda żywa!

Rusałki ciebie
Oplotą w koło,
Grająca woda
Pryśnie na czoło...

Ust koral zmyje,
Czoło ostudzi...
Wróć się dziewczyno,
Wróć się do ludzi!

Nie chodź dziewczyno
Po mchowej przędzy!
W chatę matczyną
Wracaj, och! prędzej!

Głosu przestrogi dziewczę nie słyszy,
Wciąż kwiatu szuka;
I tylko głośniej śród leśnej ciszy
Serduszko puka...
A śpiew rusałek już się rozdzwonił
Tęskliwem echem;
Ona przystaje... słucha zdziwiona,
Z lica uśmiechem.

„Pójdź tu do nas, pójdź dziewczyno!
Pójdź siostrzyczko krasna!
Może pragniesz być jak gwiazdki
Na niebiesiech jasna?

Może pragniesz jak jaskółka
Czarnem piórkiem łysnąć?
Może pragniesz jak krynica
Srebrną falą błysnąć?

Albo może — jak kalina
Przywdziać strój korali?
Albo może wiatru tchnieniem
Szumieć w kwiatów fali?...

Czego tylko dusza żąda
Powiedz wszystko śmiele!
My ci wszystko, wszystko damy!
Mamy skarbów wiele.

Nie chcesz zdrojem być źródlanym,
Nie chcesz być ptaszyną,
Ni kaliny lśnić koralem...
Czegoż chcesz dziewczyno?,

Białą dobą miesiącową
Przyszłaś cicha, drżąca —
Depcesz ścieżkę paprociową,
Nóżka rosy strąca...

Możeć serce bije
W łonie niespokojne,
Że gdzieś serce czyje
Chłodem lodu zbrojne?
Może kwiat — może czar —
Ziela cud... zaklęcia żar?...

Pójdź dziewczyno w nasze koło,
Jeden krąg taneczny zwiń,
Jedną piosnkę rzuć wesołą
I — szczęśliwa z wiatrem płyń!
My ci damy paproć kwiat,
Odsłonimy czarów świat!"

Tak śpiew rusałek wciąż się rozdzwania
Tęskliwem echem —
A ona słucha z ciszą dumania,
Z lica uśmiechem...

Uchodź dziewczyno,
Jasna i młoda,
Rusałki płyną —
Szkoda cię, szkoda!

Uchodź dziewczyno!
Och! jeszcze pora —
W chatę matczyną
Powracaj skora!

Głosu przestrogi dziewczę nie słyszy
Wsłuchane w pieśni;
Żadna jej trwoga śród leśnej ciszy
Ani się nie śni.
Ufa — i wierzy w mgławe zwodnice
Tęskna dziewczyna;
Choć bladość jakaś ziębi jej lice,
Piosnkę zaczyna.
Ćma ją rusałek wieńcem okala,
W taniec porywa:
A ona nagle cicha, liliowa,
Pada nieżywa!
Rusałki lecą szalonym wirem
Nad mokre wrzosy,
Dziewczynę kryją żałobnym kirem
Jej ciemne włosy.

— — — — — —

Na wilgotnym niebios stropie
Zagasł blady krąg księżyca,
A drzemiąca zcicha szemrze
Pośród siwych mchów krynica.

Przypadł wicher, ugiął drzewa,
Strząsł rosy djamenty:
Zda się cały las zapłakał
Że kwiat w pączku ścięty!

Śród ciemności, w głuche jary,
Bladolice spieszą mary;
Wicher jęknął gdzieś w ustroni
W wichrze znowu piosnka dzwoni:

„Smutno nam smutno
Ponad krynicą,
Tęskno nam tęskno
W zielonym lesie...

. . . .

Lwów 1877. *Iza.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VIII.

Pan Dumphy spotyka starego znajomego.

Piotr Dumphy oddał wszelki szacunek swej klientce. W kilka dni po powrocie do San-Francisco, posłał on kartkę Wiktorowi prosząc go, by przybył dla rozmówienia się.

Rozważył on, że chociaż Wiktor, wskutek ostatniego odkrycia w One horse gulch grę przegrał i pozbawiony został środków pomocniczych, jednak ponieważ był współwinnym pani Conroy w pierwszem jej oszukaństwie, dobrze będzie zatrzeć mu w pamięci ten wypadek.

Właśnie czekał p. Dumphy na odpowiedź na swój bilet, gdy jeden z komisantów wręczył mu kartkę. Rzucił niecierpliwie wzrokiem na nią i przeczytał: „Artur Poinsett."

Chociaż p. Dumphy był bardzo autokratycznym w swojem biórze i w sferze swych interesów, jednak nazwisko to tak głośnem było w całej Kalifornji, iż nie podobna było ignorować odwidzin. Oprócz tego nazwisko Poinsetta było równoznaczne z pewną znakomitością i wysokiem stanowiskiem społecznem; a p. Dumphy za wiele posiadał spekulanckiej rutyny ażeby to lekceważyć, pomimo swego skeptycyzmu i wybitego demokratycznego kierunku.

Nie odrywając oczu od leżących na stole papierów, rzekł do komisanta:

— Wprowadź go tu!

Drzwi znowu się otworzyły i wszedł niedbale młody człowiek wykwintnej powierzchowności, nie okazując bynajmniej skupienia ducha, z jakiem zwykli interesanci wkraczali w to miejsce i zbliżali się do nakazującej szacunek osoby Piotra Dumphy. A nawet jest prawdopodobnem, że drzwi tego pana, nikomu takiemu nie otwierały się, ktoby w mniejszym stopniu zdjęty był uwielbieniem dla znakomitego kapitalisty. Młody człowiek wszedł, położył swój kapelusz na stole, z naturalnem zaniedbaniem obeznanego z życiem człowieka podszedł do komina i czekał, odwróciwszy się z obojętną cierpliwością, co dalej nastąpi.

W końcu p. Dumphy znalazł się zmuszonym podnieść oczy.

— Zajęty, jak widzę, bąknął Poinsett z leniwą grzecznością. Niech panu moja obecność nie przeszkadza... Od komisanta pana słyszałem, że pan jesteś wolny. Musiało mi się przysłyszeć.

P. Dumphy znalazł się zmuszonym odłożyć pióro na stronę, podczas gdy wnętrze jego oburzało się na to.

— Zdaje się, że pan z karty mojej nie znasz mnie. Mam zatem tę korzyść, jak sądzę — mówił dalej młody człowiek z lekkim uśmiechem — że mogę sam odwołać się do przeszłości... Po raz ostatni widziałem pana przed... zaczekaj pan... przed pięcią laty. Tak! tak! Przeżuwałeś pan wtedy kawałek bawolej skóry, żeby nie umrzeć z głodu.

— Filip Ashley rzekł p. Dumphy, szybko obejrzawszy się dokoła i podchodząc bliżej do swego gościa.

— Tak jest, odrzekł Poinsett głosem nieco podniesionym z niecierpliwości. Było to moje *nom de guerre*. Ale Dumphy zdaje się być rzeczywistem nazwiskiem pana.

Gdyby było zamiarem pana Dumphy wprowadzić Poinsetta w kłopot wymienieniem swego przybranego nazwiska, to pewno zaniechałby tego przy na pół pogardliwem wspomnieniu o jego nazwisku własnem. Ale dalekim był od tego zamiaru. Pomimo gwałtownych wysileń czuł się on coraz bardziej upadającym na toż samo stanowisko, na tęż samą niską podrzędność, w jakich znajdował się przed pięcią laty wobec Ashleya. Na nic się nie przydało, że przywoływał sobie na pamięć swe bogactwa, potęgę, znaczenie. Tu, we własnym gabinecie, czekał on z pokorą na rozkazy tego człowieka. Ale sprobował jeszcze rozpaczliwego kroku by odzyskać grunt stracony.

— Pan masz interes do mnie, co? Poinsett?

Zaczął frazes, z pewną godnością a skończył z bezskuteczną familjarnością.

— Naturalnie, rzekł Poinsett niedbale, wyciągając nogi przed ogniem. W przeciwnym razie nie odwidzałbym człowieka takiego znaczenia, o takiej godzinie. Jak słyszałem pan jesteś interesowany w kopalni odkrytej niedawno w One horse gulch w rancho pod „Niewinnem dziecięciem.“ Jeden z moich klientów ma w ręku niezatwierdzoną jeszcze koncesję na to rancho.

— Kto? zapytał Dumphy pośpiesznie.

— Sądzę, że wiadomość co do tego punktu nie jest dla pana ani ważną ani potrzebną, dopóki nie wystąpimy z pretensjami, odrzekł Artur spokojnie — wszakże zaspokoję ciekawość pańską. Jestto donna Dolores Salvatierra.

Dumphy lżej odetchnął, a potem odzyskawszy odwagę, powiedział cierpko:

— Ależ to nie dotyczy...

— Pańskich pretensji do kopalni?... Bynajmniej! przerwał mu Artur z tym samym spokojem. Nie przybyłem tu by popierać jakiekolwiek prawa, mogące być po naszej stronie. Być bardzo może nawet, że oryginału koncesji nie podamy do zatwierdzenia. Klientka moja chciałaby dowiedzieć się jednej tylko rzeczy o teraźniejszych posiadaczach, lub właścicielach. Pan ich reprezentujesz, czy tak? Męża i żonę? Żona występuje jako dziewica, twierdząc że jest panną Gracją Conroy, na którą jakoby przeniesioną została domniemana koncesja. Następnie ukazuje się ona jako żona niejakiego Gabryela Conroy, który, o ile jestem powiadomiony, chce być znowu domniemanym bratem panny Gracji Conroy. Sądzę, że pan zgodzisz się na to, że w każdym razie jestto historja bardzo zaplątana i przed sądem dobrego wrażenia nie sprawi. Ale, jak powiedziałem, nie mamy ochoty odwoływać się do trybunału. Czego żądamy, to zaraz w krótkości opowiem; zgłaszam się zaś do pana dla tego, że jesteś pan człowiekiem najwłaściwszym do udzielenia nam najlepszych wyjaśnień. Powiedz mi pan zatem, czy ta siostra, lub ten brat, są osobami uczciwemi, czy też oboje są oszustami? czy legalne małżeństwo miało miejsce?... Pańskie prawne interesa, naturalnie, że nie będą tem na szwank narażone.

P. Dumphy już odzyskał po większej części swą zuchwałość.

— Ależ pan to musisz wiedzieć, powiedział wsuwając ręce do kieszeń — wszak to pan uciekłeś z rzeczywistą Gracją.

— Tak? w samej rzeczy?... A więc tamta nią nie jest — jeżeli rozumiem prawo. Bardzo dziękuję! A brat?...

— Jestto Gabryel Conroy, jeżeli znam człowieka, krótko odpowiedział Dumphy, w przeświadczeniu, że z tem przyznaniem nieco pospieszył; — ale dlaczego nie przekonasz się pan sam, osobiście?

— Byłeś pan tak uprzejmy, żeś uczynił to zbytecznem, odpowiedział Artur z uśmiechem. Bynajmniej nie powątpiewam o prawdzie słów pana. Sądzę, że jestem zanadto adwokatem, ażebym mógł podnosić wątpliwość co do zeznań pana, które ja sam wywołałem. Ale któż jest ta kobieta?

— Wdowa po doktorze Devarges.

— Prawdziwa?

— Tak jest, jeżeli Gracja Conroy do tego tytułu i tego przywileju nie rości pretensji. Stary jegomość, jak się zdaje, był bardzo niepewnym swoich skłonności i swej własności.

Zdawało się, że strzała, widocznie na Artura wymierzona, nie trafiła go. Odpowiedział bowiem tylko:

— Czy masz pan prawne dowody tego że ona jest rzeczywiście wdową? Jeżeli by tak było w samej rzeczy i jeżeli można będzie udowodnić złe obchodzenie się, albo opuszczenie, to być może, iż tym sposobem będą odrzucone pretensje mojej klientki, która jest damą bogatą, i której sympatje, rozumie się, zwrócą się ku rzeczywistemu bratu i rzeczywistej siostrze. Apropos! Wszak jest jeszcze jedna siostra — prawda?

— Tak... dziecko...

— To jest wszystko co chciałem wiedzieć. Bardzo dziękuję! Nie chcę dłużej zajmować panu czasu. Żegnam.

Wziął kapelusz i zwrócił się ku drzwiom. P. Dumphy, który pojmował, że pomijając zamiary jakie mógł mieć Poinsett przy tej rozmowie, on ze swojej strony nic na tem nie wygrał, był zdecydowany, jeżeli się uda, śmiałem wystąpieniem znowu teren odzyskać.

— Jeszcze chwilę, rzekł, gdy Poinsett wkładał kapelusz na głowę, — nie wiesz pan, czy dziewczyna ta jest jeszcze przy życiu? Co się z nią stało?

— Tego właśnie nie wiem, odrzekł Poinsett swobodnie. Gdybym wiedział, to przecież nie zgłaszałbym się do pana.

Było coś takiego w zachowaniu się Poinsetta, co nie pozwalało Dumphyemu stawić go w kategorji tych ludzi, których on, w roznamiętnieniu tak samo jak w spokoju, charakteryzował z przekonaniem sentencją: „każden jest kłamcą.“

— Kiedy i gdzie widziałeś pan dziewczynę po raz ostatni? zapytał mniej ostro.

— Pozostawiłem ją w chatce jednego trapera niedaleko od North Fork, podczas gdy sam powróciłem niosąc pomoc. Stowarzyszenie ratujących znalazło innych już nie żyjącymi. Gdym powrócił do Gracji, już jej nie było; zapewne udała się z oddziałem ratujących. Zawsze byłem tego zdania, że i pan zostałeś uratowany przez wyprawę.

Tu nastąpiła pauza, podczas której oba w oczy sobie patrzyli. Przypomnieć sobie trzeba, że oba oszukali stowarzyszenie ratujące, pod względem stosunku swego do nieszczęśliwych zmarłych. Żaden z nich jednak nie wierzył temu by drugi wiedział o tym fakcie. Ale nikczemniejszy obawiał się wypytywać dalej, przy czem w końcu własne jego kłamstwo musiałoby wyjść na jaw; takim sposobem jedno pytanie, które Artura prawdopodobnie mogłoby w zakłopotaniu postawić i któreby mogło zmienić zachowanie się jego względem Dumphyego, nie zostało wypowiedziane. Ponieważ nie mógł sobie wytłumaczyć wahania się Dumphyego, więc sądził, że należy być pewnym jego nieświadomości i czuł się panem sytuacji. Skłonił się niedbale Dumphyemu i wyszedł.

Gdy opuścił pokój potrącił jakiegoś małego krępego człowieka, który w tej chwili wchodził do Dumphego. Instykt uczucia obustronnego wstrętu sprawił, że spojrzeli na siebie.

Poinsett ujrzał żółtawą twarz, która pomimo że była osadzona na silnem pozornie ciele wyglądała suchotniczo; twarz o ściśniętym podbródku, a której usta ciągle były otwarte nad wielkiemi wystającemi zębami, i usta które ciągle zdawały się wciągać powietrze, a po których Poinsett poznał niemiłe cechy pewnej osoby, znanej sobie poniekąd. Gdy usta te, poznawszy Artura, jeszcze gwałtowniej zaruszały się i rozwarły, Poinsett za odpowiedź skinął obojętnie, a ponieważ wstręt swój przypisywał nieprzyjemnym rysom, więc nie myślał więcej o tem.

Nie tak było z nowo przybywającym. Rzucił on naprzód na odchodzącego Artura, a potem na Dumphyego wzrokiem podejrzliwym. Ten ostatni, odzyskawszy już przytomność umysłu i zwykłe zuchwalstwo, zaraz jedno i drugie zastosował do nowo przybyłego.

— No, co pan masz zaproponować? zapytał prędko i krótko.

— To pan właśnie masz coś do powiedzenia; pan przysłałeś po mnie, odrzekł przybyły.

— Hm, tak! Podjąłeś się udowodnić mi, że na wiadomą kopalnię istnieje druga jeszcze koncesja. Co to wszystko ma znaczyć, Ramirezie?

Wiktor podniósł swe oczy o żółtych powiekach w górę i odrzekł ruszając ramionami:

— Quien saba? (Kto wie?) są koncesje i koncesje.

— Zdaje się, że tak jest. Ale przypuszczam, że wiesz o tem, że obecnie my mamy tytuł własności na tę kopalnię, i co jest lepsze aniżeli wszystkie koncesje, odkryliśmy minerały rudę zawierające.

Wiktor nachylił się i wycedził przez zęby:

— My?... o!

— Tak jest, my. Zamierzam właśnie utworzyć towarzystwo dla jej męża.

— Jej męża — dobrze!

Dumphy spojrzał przenikliwie na Wiktora. Było w nim coś, co wzbudzało nieokreślone podejrzenie. Dumphy, mający jeden z tych charakterów, dla których odwagi niezbędnym warunkiem jest przyzwyczajenie się do powodzenia, od czasu rozmowy z Poinsettem czuł się w znacznym stopniu niepewnym i obecnie był bardzo zirytowany.

— Tak jest — jej męża; cóż pan masz na to zaproponować? Nic?... No, to zauważ że sobie! Posłałem po pana, by mu powiedzieć, że co do dawniejszych planów jego i stosunków, teraz, gdy wszystko jest w porządku i uprawnione, najlepiej zrobisz, gdy będziesz milczeć. Pan wiesz o czem ja myślę?

Dumphy wpadł w uniesienie, tak, iż zdawało się, że stracił panowanie nad sobą, i mówił z naciskiem dalej:

— Pan nie wiesz zatem nic o jakiejś Gracji Conroy! słyszysz pan?

— A zatem nie istnieje żadna siostra... a?... tylko żona?

— Tak jest.

— Tak?

— Za kroki poczynione ze strony pana, otrzymasz pan, naturalnie, wynagrodzenie, chociaż z drugiej strony musisz pojmować, że to jest zbytecznem i że właściwie pretensje pana nie mają żadnej wartości. Bo w samej rzeczy nie znajdujesz się pan w żadnym stosunku do obecnego stanu rzeczy. Chyba, chyba — dodał ze wspaniałomyślnym docinkiem, mającym źródło w niedawnej jego porażce — chyba że pan spodziewasz się jeszcze czegoś za to, że byłeś przyczyną tego, iż ona i Gabryel pobrali się.

Wąskie linje nad zębami Wiktora, zwykle zwane ustami, jeszcze bardziej pożółkły.

— Cha, cha! dobrze! brawo!... dowcip! zawołał śmiejąc się. Nie! tego nie postawię w rachunku; nawet panu... Nie! cha! cha! cha!

Gdyby Dumphy widział w tej chwili co się działo w duszy Wiktora, to pewno cofnąłby się bliżej ku drzwiom swego gabinetu.

— A zatem, mówił dalej, nie masz nic takiego za co mielibyśmy płacić panu, wyjąwszy jego milczenia. O tem musimy porozumieć się wyraźnie. Idzie to na korzyść pana; nas rzecz ta o tyle tylko dotyczy, o ile społeczne stanowisko pani Conrny jest w to wmięszane, dla tego przestrzegam pana, byś przez wygadanie się nie skompromitował jej; nam to bynajmniej nie zaszkodzi. Wartość prawa Gabryela do kopalni mógłbym już jutro otrzymać z góry, gdyby rzecz dziś wieczór była wiadoma. Jeżeli pan przypominasz sobie, to jedyny dowód dawniejszego odkrycia zawiera się w dokumencie, który jest w naszem posiadaniu. Może pana zaspokoimy. Przynajmniej możesz pan tak przypuszczać, jeżeli chcesz. Pomyśl pan zatem, że wszelkie jego usiłowania, w drodze prawnej, lub jakiejkolwiek innej, dla dojścia do posiadania tego dokumentu, skończą się zniszczeniem go. No, jakież jest zdanie pana? Dobrze! dobrze! Jak tylko akcje zostaną wydane, wystawię panu weksel, albo może wolisz pan wziąć jeden udział?

— Wolałbym gotówkę, odrzekł Wiktor ze szczególnym uśmiechem.

Dumphy udał, że nie dostrzega w tych słowach sarkazmu.

— Jesteś pan całkiem rozsądny, Wiktorze, powiedział, zwracając się znowu ku swoim papierom. Nigdy nie wdawaj się w akcje. Do zobaczenia.

Wiktor zmierzył ku drzwiom.

— Jeszcze jedno, Wiktorze, rzekł Dumphy spoglądając obojętnie; gdybyś przypadkiem znał właścicielkę tego niedawno znalezionego oryginału koncesji, to mógłbyś jej dać do zrozumienia, że spór do niczego nie doprowadzi. Toż samo powiedziałem przed chwilą jej adwokatowi.

— Poinsettowi? zapytał Wiktor, zatrzymawszy się z ręką na klamce.

— Tak jest. Ale ponieważ zdarza się przypadkowo, że jest on także Filipem Ashley, tym samym co umknął z Gracją Conroy, więc najlepiejby było gdybyś się z nim porozumiał. Być może, że będzie on w stanie lepiej przysłużyć się panu aniżeli ja. Bądź pan zdrów.

I gdy się odwracał od Wiktora jakby skamieniałego, zadzwonił, z tem przekonaniem, że teraz powaga jego najzupełniej została odzyskana; zadzwonił by wprowadzono nowego interesenta. (C. d. n.)

Listy z Niemiec.

II.

Wiedeń w grudniu 1876.

(Do sytuacji. — P. Sydonia Riesler królowa sezonu. — Ruch przedświąteczny. — Wystawa w Muzeum dla sztuki i przemysłu. — Minister br. Hofmann o kongresie geograficznym w Bruksełji. — Auerbach dr. Leidesdorf, Bodenstedt i Weyprecht. — Mirza Schaffy. — Początek sezonu teatralnego. — Nowe sztuki. — „Nero" M. Greifa. — Wystawa Wagnera. — Nowy romans L. Anzengrubera. — Szkice z ghetto podolskiego. — Dr. L. Büchnera: Z życia duchowego zwierząt.)

Zaczynamy od sytuacji. W czasach rokowań konferencyjnych, wichrzeń moskiewskich, kłopotów ugodowych, w czasach, gdzie „momenta prawdziwie dramatyczne stały się charakterystycznemi znamionami polityki europejskiej," trudno zaiste nie iść za przykładem całego legjonu „specjalnych i najspecjalniejszych" korespondentów i reporterów dziennikarskich i nie zaczynać „od sytuacji." Wprawdzie ta sytuacja, o której my mówić zamierzamy, specyficznie różni się od tej, która codziennie malowaną bywa w leaderach politycznych dla orjentowania, a istotnie dla bałamucenia publiczności czytającej. Nam chodzi głównie o scharakteryzowanie wybitnych cech i znamion życia wiedeńskiego, a więc o sytuację miejscową, nie troszcząc się bynajmniej o krwawy dramat groźnie odgrywający się nad Bosforem. Pod tym ostatnim względem czynimy tak samo, jak prawdziwi wiedeńczycy, którzy od dwóch już miesięcy niczem innem nie zajmują się jak Francesconim. Ani groźny dramat, ani kłopoty ugodowe, ani Herkules-Skene częstujący maczugą gospodarkę finansową p. Pretisa, ani też własna obywatelska nędza nie obchodzi ich wcale, a nawet podrożenie piwa nie wywołało rewolty, tak wszyscy są smutni i zapłakani od czasu justyfikacji tego mordercy. W. Schlögl niezrównany znawca życia wiedeńskiego, o którym w jednym z następnych listów obszerniej pomówimy, zauważał, że humanitaryzm Wiednia, oświadczający się stanowczo za zniesieniem kary śmierci, tylko małej loterji przyniósł realny pożytek. Podczas kiedy *Extrablatty, Kikiriki, Hans Jörgli,* a nawet *der krumpe Hiarol* działały bezpośrednio całym aparatem swej żargonowej wymowy na nerwy czytelników i nadto teoretycznie i humanitarnie roztrząsały dylemma: „Znieść lub zatrzymać karę śmierci" równocześnie oblęgały siostry loteryjne z rozmaitemi kombinacjami numerów Francesconiego kolektury. Jednak ani akcja humanitarna „Ekstrablattu" i towarzyszy, ani też teorja zaczerpnięta z egipskiego sennika nie odniosła tym razem pożądanego skutku. Francesconi nie wyszedł ani we Wiedniu, ani w Lincu, ztąd jeszcze większy smutek i jeszcze rzewniejsze łzy za pięknym mordercą, a może i za ostatnim groszem, który moloch loteryjny pożarł. Podczas kiedy płeć piękna wzdycha i nie może się pocieszyć, bo los jego biednej kochanki (jak gdyby nie było innych opuszczonych kochanek bardziej pożałowania godnych), cięży jej na sercu; manifestuje *der echte dumme Kerl von Wien* swój postępowy humanitaryzm za zniesieniem kary śmierci głośno w knajpach odzywający się przywdzianiem krawaty à la Francesconi. Jest to artykuł ostatniej mody wiedeńskiej, krawata przypominająca — powróz. Cynizm i naiwna głupota złożyły się na tę modę, którą tylko karygodna lekkomyślność wrodzona Wiedeńczykom może podtrzymywać.

Mówiąc o modzie, nie możemy pominąć płci pięknej, która szlachetniejszemi kieruje się pod tym względem motywami. Nie mogąc w miejscu znaleść natchnienia, posiłkuje się ona Paryżem; ażeby jednak zasłonić choć trochę własne ubóstwo wszelkiej intuicji, lokalizuje szyk importowany. Taką lokalizacją jest znieważenie toalety p. Sydoni Riesler, żony spólnika młodszego p. Fromont, importowanej z Paryża na deski Burgtheatru. Heroina romansu p. Alfonsa Daudet, osoba wprawdzie nie bardzo moralna, jednak mimo to moralną stała się reformatorką wiedeńskich strojów damskich. Teraz mamy suknie *simple à la Sidonie,* wytworne roby a la Sidonie, kostjumy myśliwskie, rybackie, kapelusiki, a nawet kolor nowy *à la Sidonie Riesler.* Moda tu lotem błyskawicy upowszechnia się, a dziś nawet gruba rzeźniczka z Thurrybrüchl lub obywatelka (bürgerliche) blacharzowa z Lerchenfeldu przywdziewa po wierzch czepca z gracją miniaturowy kapelusik *à la Sidonie,* ozdobiony dużym ogonem papugi *Cacadou,* ni to kitą. Oczywiście, że na Thurrybrüchlu i Lerchenfeldzie ulega szyk paryski niejakiej modulacji. Piękna Lisi, córeczka pani Schimpelhuber jest trochę nadto radykalną w szyku toaletowym, i jej nowy kostjum myśliwski przypomina maskaradę, tyle w nim ekscentrycznego i obcisłego reformatorstwa. Dobra matka pochwala ten krótki radykalizm, bo dla czegoż, jeśli to w modzie, nie mają ludzie podziwiać pięknej nóżki i w ogóle pulchnej figurki. To też przed świętami, kiedy tłumy roją się po ulicach, cały legjon daje się widzieć ubrany w najdziwaczniejsze stroje i to wedle mody specjalnej każdego niemal przedmieścia i Vorortu.... kolekcja imponująca śmiesznych postaci, pstrokacizny, arlekinady, a wszystko to popełniane na rachunek biednej p. Sydonji Riesler. Nie zwyczajny ten ruch na głównych ulicach trwa już od dwóch tygodni... przypływ i odpływ najrozmaitszych ludzi zakupuwujących na „gwiazdkę" lub gapiących się. Obydwie te rzeczy należą do prawdziwie wiedeńskich obyczajów. Pierwszy to jest zakupywanie, zmalał w tym roku dla braku monety, podczas kiedy gapienie wzmogło się znacznie.

Sklepy lepsze są zaniedbane, za to „krajcarowe bazary" bardzo w modzie. Tych ostatnich namnożyło się ostatniemi czasy bardzo wiele. Na każdej większej ulicy jest ich kilku: tu „amerykański," tam „światowy," „japoński," „powszechny," a tam znowu „aukcja za pół darmo" lub „dziś za pieniądze, jutro za darmo!" W bazarach tych ruch i zgiełk najjaskrawszy, prawdziwie jarmarczny w polskiem tego słowa znaczeniu. Wszystko tu się tylko ciśnie i kupuje za pięć centów „necessaire" kompletny do pisania, lub za dwadzieścia siedm centów, liczba stereotypowa, najprzedniejsze rękawiczki, lub za guldena serwis herbacianny na sześć osób. Reprezentanci świętej pamięci rozkwitu ekonomicznego podzielili się tu w rolach: jedni zachwalają pięcio-centowe specjalności, drudzy kupują upominki na gwiazdę za pięć centów. Płeć piękna, niby, kwiecie ubarwia życie bazarowe, nadobne panienki sprzedają i kupują z tą różnicą, że te co sprzedają są orjentalne piękności, a znowu te dziewice, które kupują zabawki dla dzieci, są czystej krwi Wiedeńki.

„Ten serwis kompletny na 12 osób kosztuje guldena. Najprzedniejsza porcelana z Meissen. Mam go zapakować?... Tak, oto już zapakowany! Czem mogę jeszcze służyć łaskawej pani,

może poduszką gutaperkową, tuzinem kołnierzyków à la Simfoni, lub prawdziwie francuskiemi rękawiczkami ze skóry słoniowej — wszystko tylko dwadzieścia siedm centów! Może szyldkretowy grzebień, także, nie... ach, jakżeż pani jest skąpą!" Pani Simplmayer piecze raka, dobywa znowu portmonetkę i znowu zakupuje; w końcu znosi ogromny do domu serwis, rękawiczki, grzebień i innych specjalności, a wszystko to tylko za dwadzieścia pięć centów.

Odwróćmy się od tego jaskrawego obrazu sytuacji i przejdźmy do innych oznak świątecznego ruchu.

Świąteczna wystawa przemysłowa (Weinachtsaustellung) w Muzeum dla sztuki i przemysłu zasługuje na szczególną wzmiankę i uwagę. Rok rocznie bywają te wystawy urządzane, ale tak świetnej jak tegoroczna nie było jeszcze dotychczas. Imponująca kolekcja różnych wyrobów tu zgromadzonych dowodzi, że przemysł w Austrji podnosi się i uszlachetnia widocznie. Jest to główna zasługa działalności tego Muzeum, które ma zadanie uszlachetniać i podnosić pod względem dobrego gustu wyroby industryjne, łączyć niejako artyzm z przemysłem. To też w okazach wystawy tegorocznej napotykamy rzeczywiste cacka artystycznego przemysłu, a prawie w każdej gałęzi produkcji postęp bardzo znaczny. Przedewszystkiem odznaczają się wyroby bronzowe z fabryk Höllenbacha i firmy Hanusz i Dziedziński. Okazy te zjednały sobie na wystawie w Monachium wielką sławę. Szkła i porcelany, mianowicie czeskie są w pełnem słowa znaczeniu doskonałe, przewyższające zagraniczne fabrykaty pod każdym względem. Hafty, koronki i wyroby z surowych nici są misterne, piękne i trwałe. Materje ciężkie, obicia, dywany w stylu zwyczajnym, nadto imitacje materyj orjentalnych, tkanych i wyszywanych złotemi i srebrnemi nićmi, dywany tureckie i perskie wyrobu głośnej firmy F. Haas i spółki mogą się równać śmiało z wyrobami angielskiemi i francuskiemi tego rodzaju. W skórzannych galanteryjnych fabrykatach zawsze celował Wiedeń, to też i na tej wystawie znakomicie jest zastąpiony. Z polskich wystawców, prócz pp. Hanusza i Dziedzińskiego, bardzo zaszczytne zajmuje miejsce malarz miniaturowy p. Kobierski, który przedstawił się kilkoma dziełami (portrety rodziny cesarskiej, własność dworu) jako skończony artysta, a nadto specjalista jeden i jedyny w rodzaju swego własnego i odrębnego sposobu malowania na szkle. Okolice Krakowa zastąpione są tu wielką kolekcją najrozmaitszych koszów i koszyków, okazów pod każdym względem wytwornych, eleganckich i praktycznych. Są tu niektóre roboty koszykarskie, które już do artystycznego przemysłu zaliczyć należy. Galicyjskie koszyki śmiało rywalizować mogą z zagranicznemi wyrobami, i obecnie gdzie ten przemysł w okolicy Krakowa zaczął się widocznie podnosić, stały się one bardzo poszukiwane jako artykuł eksportu. (C. d. n.)

Wzrost i rozwój armij stałych w Europie

Napisał

LEOPOLD WINKLER.

(*Ciąg dalszy.*)

W grudniu 1793 r. armja czynna liczyła we Francji 528,000 ludzi, a następnego roku w miesiącach sierpniu i wrześniu doszła do 732,000 żołnierzy.

Podług twierdzeń Dubois de Crancé, Francja miała pod bronią w początkach 1795 r. około 1,100,000 wojska, lecz czerpiąc z innych źródeł owej epoki,łatwo przekonać się możemy, że liczba ta zanadto jest przesadzoną.

Według Servan'a maximum sił francuskich w tej epoce doszło do 750,000 ludzi.

W roku 1796 armja francuska zmniejszyła się do 420,000 ludzi, a we dwa lata potem ciało prawodawcze zadecydowało prawo służby w wojsku obowiązkowej dla młodzieży, liczącej od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat życia.

Za czasów konsulatu w 1801 r. pierwszy konsul Bonaparte liczył pod rozkazami swemi 414,700 ludzi, która to liczba ani powiększała się ani zmniejszała do 1805 r.

Poczynając od tego czasu, Napoleon I stał się panem wszechpotężnym. „Jego ogromna ambicja, mówi generał Brialmond, nasunęła dumnemu jego umysłowi projekt chimeryczny, włożyć na swą głowę koronę Karola Wielkiego i uczynić z całeko świata jednę powszechną monarchję".

„Skoro korpus marszałka Lannes znalazł się przy brzegach morza Północnego, pisze Thiers, żołnierze poraz pierwszy wykrzyknęli: Vive l'empereur d'Occident! Ich zapał przeniknął ambitne plany Napoleona".

Opór, stawiany powszechnie wszelkim zamysłom Napoleona I, skłonił go do podniesienia liczby wojska i rozpoczęcia na nowo wojny, która trwała przez długie lata. Napoleon korzystał wybornie z usposobienia narodu francuskiego, gotowego ślepo za nim postępować, gdyż narodowa jego duma była zranioną napadami Europy na ziemie francuskie, i usiłowaniami obalenia porządku rzeczy, który ocalił niepodległy byt państwa francuskiego. Dla zabezpieczenia przy tem Francji na zawsze, naród uważał za rzecz konieczną czynić zadość wszelkim żądaniom wielkiego wojownika

Francja rewolucyjna, Francja republikańska nie miała nigdy zamiarów zdobyczy, a zgromadzenie jej narodowe okazywało na każdym kroku usposobienia pokojowe. Życzyło sobie ono mieć pod bronią tylko 243,0000 ludzi w czasie pokoju, a 310,000 w czasie wojny. Liczby te znajdują się w rozdziale VI konstytucji z roku 1791, gdzie pomiędzy innemi i to czytamy: „Naród francuski wyrzeka się przedsiębrać wszelkiej wojny w widokach zaborów, i nigdy sił swych nie użyje przeciw wolności innego narodu".

Wkrótce jednakże potem konwencja narodowa, widząc Francję napadniętą przez całą Europę skoalizowaną, zorganizowała siłę wojskową, która doszła do liczby 732,000 żołnierzy. Do tego czasu nigdy jeszcze nie widziano takiej siły, od chwili jak powstała w Europie organizacja stałych armij.

Zachęcony ciągłem powodzeniem, nie zdając już rachunku przed nikim ze swego postępowania, zwycięzca z pod Austerlitz, Jeny i Wagram, poczynił nadzwyczajne przygotowania w początkach 1812 roku, powziąwszy zamiar najazdu na Rossję.

Napoleon I przeszedł Niemem z armją wynoszącą 423,000 ludzi, nie licząc w to korpusu austryjackiego, liczącego 30,000, który otrzymał inne przeznaczenie.

Po za tą główną siłą postępowała rezerwa, złożona ze 130,000 ludzi, oprócz 40,000 chorych i 12,000 pozostałych po drodze w różnych miejscowościach. Prócz tej olbrzymiej armji, wyprowadzonej na pole działania, pozostało jeszcze we Francji 150,000 wojska, we Włoszech 50,000, a w Hiszpanji 300,000, — czyli razem siły Napoleona I wynosiły w tym czasie 1,135,000 żołnierzy, a w tej potężnej liczbie 875,000 samych Francuzów.

Napoleon I naszedł ziemie, pod panowaniem rossyjskiem zostające, w liczbie wynoszącej 535,000 ludzi. Rossja zaledwie około 200,000 wojska postawić mogła przeciw olbrzymiej cesarza francuskiego potędze.

Po kilku stoczonych bitwach, zbliżał się zwycięzki Napoleon do Moskwy. Bitwa pod Borodino, ostatecznie uważana za zwycięzką dla oręża francuskiego, w gruncie była bitwą najnieszczęśliwszą, bo osłabiła siły Napoleona. Wojska rossyjskie, pod dowództwem Kutuzowa, walczyły z niesłychanem męstwem. Spalenie Moskwy, nadzwyczajne ciężka zima, brak pokarmu dla ludzi i koni, dokonały upadku tej wielkiej armji.

Przy przeprawie przez Berezynę, z 535,000 ludzi pozostało tylko 52,000 z których pod bronią była zaledwie tylko połowa.

Kampanja 1812 r. przedstawia obraz wyprawy na wzór starożytnej Kserksesa. Zaledwie ośm dni upłynęło od przejścia przez Niemem, gdy 200,000 ludzi, opuściwszy sztandary, przedstawiało smutny widok upadku wielkiej armji.

Wielkie bitwy stoczone od 1809 do 1814 roku mniejszą odznaczają się świetnością i mniej świadczą o geniuszu wojennym Napoleona, niż dawniejsze zwycięstwa we Włoszech, Egipcie, Austrji i Prusach, które imię jego uczyniły tak wielkiem, że wszystkie inne, oprócz Aleksandra, Hanibala i Cezara, maleją obok imienia wielkiego zwycięzcy z pod Lodi, Arcole, Marengo, Jena i Austerlitz.

Niektórzy usiłują dowieść, że zbyt wielkie liczbą armje stają się tylko ciężarem i nigdy z niemi tego dokazać nie można, co się częstokroć udaje przy genjalnym wodzu z mniejszemi siłami.

Wojny w ostatnich czasach zadają kłam temu dowodzeniu, gdyż pod Solferino, Sadową, Gravelotte i Sedanem widzieliśmy generałów, nie posiadających ani genjuszu wojennego ani doświadczenia Napoleona I, dowodzących wielkiemi armjami i wprowadzających w ogień naraz od 150 do 200,000 ludzi, ze skutkami tak świetnemi, jak były zwycięstwa wielkiego wojownika. To tylko dowodzi, że postępy w sztuce wojskowej złożyły w ręce generałów naszych czasów sposoby i środki do prowadzenia armji, których dawniejsi nie posiadali. Dzięki kolejom żelaznym, telegrafom i żegludze morskiej ulepszonej, dziś generałowie łatwiej mogą wykombinować wszelkie ruchy wojska i wprowadzać je w wykonanie z daleko większą szybkością, bezpieczeństwem i dokładnością, porozumiewać się daleko łatwiej i prędzej z korpusami oddalonemi, i urządzać tym sposobem jakby koncert na placu boju.

Inne odkrycia nauczyły łatwiej żywić wojsko znajdujące się w marszu, urządzić służbę ambulansową i szpitalną, oraz prowadzić zręcznie bagaże i artykuły pożywienia.

Czyż bez tych wynalazków mogliby Niemcy, jak widzieliśmy to w ostatniej wojnie, postawić na granicy francuskiej w ciągu tylko kilku dni aż ośmnaście korpusów wojska, liczących po 35,000 ludzi? Czyż bez tych ulepszeń w sztuce wojskowej i administracji, takie masy mogłyby iść szybko i w największym porządku? Bez wątpienia ogro-

mne zdolności hrabiego Moltke, uczoność sztabu generalnego i wykształcenie gruntowne żołnierza pruskiego, wiele przyczyniły się do tych świetnych rezultatów, lecz to także jest rzeczą pewną, że bez wynalazków wielkich na drodze przemysłu, sztuka wojskowa sama takichby korzyści odnieść nie mogła.

Pozostaje nam jeszcze wykazać przyczyny, które wywołały wzrost sił wojskowych, od czasów wojen pierwszego cesarstwa.

Po upadku Napoleona I sądzono, że epoka zdobyczy zupełnie się przeżyła, i w naiwnej zaiste radości Europa pochlebiała sobie, że będzie mogła zbierać oszczędności na zmniejszeniu armij stałych. Niestety iluzja ta krótko trwała.

Prawo wojenne z 1818 r. ustaliło we Francji 240,000 wojska na stopie pokojowej; w r. 1825 podniesiono już liczbę wojska na stopie pokojowej do 280,000 żołnierzy, na stopie zaś wojennej 390,000; w trzy lata zaś potem uznano znów potrzebę powiększenia tej liczby do 464,000 ludzi.

Drugie cesarstwo, w nadziei wzmocnienia się, a zarazem w chęci powrócenia Francji znaczenia politycznego, prowadziło wojny.

W tym celu powiększyło swoje siły, i przez cały czas panowania swego cesarz Napoleon III czynił usiłowania celem powiększenia armji, zwłaszcza po wojnie prusko-austryjackiej.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XVII.

Nowy Rok zaczął się pod wybornemi auspicjami, pierwszy jego tydzień składa się bowiem z czterech tylko dni roboczych, a trzech świątecznych. Prawdziwa to gratka dla każdego, którego nie trawi gorączka pracy — pilnym zaś ludziom święta przecież pracować nie pozwalają. Ci ostatni stanowią u nas zresztą tak niknącą mniejszość, że o nich nawet wspominać nie warto. Ściśle rzecz biorąc, Polska cała ma tylko jednego pilnego człowieka, a tym jest J. I. Kraszewski. Dla niego każdy rok nowy jest początkiem nowych 365 dni pracy równie niezmordowanej, jak pożytecznej. Dla niego też inaczej wypada stylizować życzenia noworoczne. Oby mu jak najdłużej służyły lata i dnie, w których dla nas pracuje! Mniej zaś roborczemu ogółowi, oby pierwszy tydzień tego roku był dobrą wróżbą — „kołaczów“ bez pracy! Życzenie to powtarzam tem usilniej, gdy w przeciwnym razie musielibyśmy ponoś obchodzić się bez „kołaczów“ raz na zawsze. Nie każdego pierwszego można spodziewać się remuneracji noworocznej, nie każdego piątego dać się prosić na wigilję Bożego Narodzenia do jakiego brata — unity. Znam jednego szczęśliwca, który od 23 grudnia do 6 stycznia trzy razy posilał się *kutią*, szczupakiem, gołąbkami itp. bez opłacenia jakiejkolwiek taksy lub należytości stęplowej. W sobotę 23 grudnia proszony był na wigilję do „obserwantów“, tj. do domu takiej rodziny, która trzyma się przepisu kościelnego, uchylającego post w niedzielę. Następnego dnia łamał się opłatkiem z „indyferentystami“, u których kalendarz drukarski ma więcej znaczenia od kościelnego, a nakoniec, w piątek przed Trzema Królami załatwiał kwestje międzynarodowe i międzywyznaniowe w drodze bratniej zgody, kielichem kalwińskiego *maślaeza*, wychowanego w grecko-katolickiej, księżej piwnicy, a przywiezionego z poza Karpat przez wyznawcę starego, mojżeszowego zakonu. Zapewniano mię, że przy takiej internacjonalnej libacji, najtwardszemu świętojurczykowi karp *po polsku* przestaje być potępienia godną „nalecialością łacińską“, podczas gdy z drugiej strony, sam wydawca i redaktor *Dziennika Polskiego* zaczyna godzić się po trochę z dwoistością kalendarza. Ale niestety — świąteczne takie okazje zdarzają się zaledwie parę razy do roku, a nawet gdy się zdarzają, nie dają niezmąconego szczęścia, albowiem nazajutrz taki kalwin węgierski zwykł buntować się w sposób bardzo niemiły, na który ponoś jedni tylko Niemcy wynaleźli wyraz odpowiedni, nazywając skutki podobnego rokoszu „kocią nędzą“......

* * *

Zarzucano mi, że poprzednią pogadankę pisałem bez względu na to, iż pogoda i temperatura należą do rzeczy najzmienniejszych w świecie. W istocie, zanim *Tydzień* wyszedł z druku, nastąpił po odwilży mróz trzaskący, który mógłby mi był odebrać raz na zawsze ochotę do zastanawiania się nad kwestjami meteorologicznemi, gdyby niebo nie zlitowało się nademną i nie zesłało znowu 8° Réaum. ciepła na moje usprawiedliwienie. Ażeby nieszczęśliwy pogadankarz w przyszłości nie był narażonym na *fiasca* tego rodzaju, ośmielam się zapytać publicznie, czy mamy my w kraju jakie stacje meteorologiczne, i co one robią? Jeżeli są, czemu nie ogłaszają spostrzeżeń i kombinacyj swoich, na wzór biuletynów, które widujemy w pismach francuskich, i które nawet co do przepowiedni pogody na pewien czas niezbyt długi, okazują się trafnemi? Jeżeli zaś nie ma takich stacyj, to są natomiast: Akademja techniczna, Uniwersytet, Towarzystwo przyrodników i Towarzystwo rolnicze; cztery instytucje, z których każda ma obowiązek i interes urządzenia takich stacyj, i znoszenia się z innemi, w Europie istniejącemi.

Oto mam właśnie przed sobą pisma paryskie, w których znaleść można wytłumaczenie nagłych zmian temperatury w przeciągu dni ostatnich. Mróz, który zaskoczył nas niespodzianie 22 zm. był następstwem ustania prądu ciepłego, wiejącego z zachodu, i zmiany wiatru na północy. Zmianę tę, za pomocą telegraficznych sprawozdań, można było przewidzieć we Lwowie o dwie doby wcześniej, niż nastąpiła. Zerwały się atoli znowu burze zachodnie na Oceanie atlantyckim, i znowu cieplejsze fale powietrza dotarły aż do nas z tamtej strony, ztąd mamy odwilż ponowną. Na podstawie spostrzeżeń barometrycznych donoszą wszakże, że około 5go stycznia wiatr powieje znowu od północy, i przyniesie nam mróz z śniegiem. Jeden z śmielszych meteorologów ułożył już nawet na zasadzie badań i spostrzeżeń swoich następujący program pogody na pierwszy kwartał roku bieżącego:

Styczeń — od 5 do 31 wiatr północny, (północno-wschodni itp.) mrozy i śniegi, z chwilowemi tylko odwilżami.

Luty — temperatura nadzwyczaj zmienna, dużo śniegu.

Marzec — mało deszczu, suche zimno; największe pomiędzy 20 a 25tym tego miesiąca.

Warto pamiętać i sprawdzić te prognostyki. Na wszelki wypadek, prorokowanie pogody niemoże zyskać podstaw naukowych, póki cała sieć stacyj, połączonych między sobą drutami telegraficznemi, nie obejmie kuli ziemskiej. Ale i wówczas ponoś, gdy już Chiny i Patagonia, wnętrze Afryki i wyspy Cichego Oceanu wejdą w ten system, zostanie jeszcze jedna luka, a tę lukę tworzyć będzie Galicja.

* * *

Wyrazu „Galicja“ — zastrzegam się! — użyłem tutaj w krakowskiem tego słowa znaczeniu, według którego Galicja zaczyna się dopiero od Podgórza. Kraków, pomimo wszystkiego, co mu zarzucają, wyprzedza nas zawsze w dbałości o interesa naukowe. We Lwowie łatwiej o stowarzyszenie, ale gdy to już się zawiąże, wybierze prezesa i wice-prezesa, nic o niem nie słychać więcej. W Krakowie pracują ludzie pojedyńczy. Zapewne też z obawy, ażeby siedziba Akademji nie prześcignęła siedziby władz pod względem naukowym, pochodzi macosze traktowanie Krakowa, wywołujące w ostatnich czasach tyle uprawnionych jęków boleści w całej prasie krajowej. Smutna to rzecz, jeśli dzienniki zmuszone są stawać w obronie uczniów przeciw ich przełożonemu, jak to widzimy w kwestji krakowskiego zakładu technicznego. Wesołe zdarzenie, iż pewna nauczycielka dzięki ujmującej powierzchowności i biegłości w języku *niemieckim* została mianowaną ni zńąd, ni z owąd, stałą nauczycielką języka *francuskiego*, nie naprawi tego smutku, zwłaszcza gdy i temu wypadkowi towarzyszą „nieprawidłości“, trudne do pogodzenia z tem, co nauczyciele niemieccy nazywają „*ein Rechtsstaat*“. Jeżeli do tych faktów dodamy, iż niedawno we Lwowie wyższym nauczycielem seminarjum żeńskiego mianowano pedagoga, który sam ukończył zaledwie 3cią klasę gimnazjalną i żadnych egzaminów nauczycielskich nie zdał — jeżeli dodamy, że Matejko nie może pomimo wszelkich usiłowań doczekać się dotacji dla szkoły sztuk pięknych, chociaż rzecz cała jest załatwioną *de jure* a tylko *de facto* ugrzęzła w jakiejś dykasterji — jeżeli dodamy i zestawimy to wszystko, powiadam, to człowiek ma ochotę zawezwać na pomoc odpowiedzialnego redaktora, i prosić go, ażeby człowieka trzymał za pióro, bo inaczej człowiek nie ręczy za to, co dalej napisze... Ponieważ atoli odpowiedzialny redaktor w tej chwili nie jest obecnym, więc ze strachem sam składam pióro i kończę.

Jan Lam.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Hodowla gęsi jest u nas łatwiejsza i tańsza, jak gdziekolwiekindziej. Weźmy np. Pomorze pruskie; zdumieć się potrzeba jakie tam cyfry stałego dochodu stanowią wędzone półgęski, których ładunki po kilkaset centnarów rozsyłają po wysokich cenach lądem i morzem, nie tylko po całej Europie ale i do Ameryki.

Dlaczegóż nie mielibyśmy w naszych szkołach żeńskich obok wykształcenia przyszłych matek i obywatelek kraju, zaprowadzić działu gospodarstwa przemysłu domowego w tym kierunku? Wprawdzie myśl ta wprowadzoną została do szkół wydziałowych dla płci męskiej,

ale niestety, ważny ten przedmiot bywa dotychczas traktowanym po macoszemu i jest jedynie smutną blagą, o której pomówimy przy ogólnym poglądzie na końcu.

Jak powszechnie wiadomo, tradycja w każdem pokoleniu staje się coraz mglistszą, mniej wyraźną, aż nareszcie ledwie cień prawdy pozostaje. To też chociaż nasze prababki i babki miały niepospolitą sławę w zaopatrywaniu potrzeb domowych nawet w najwykwintniejsze przysmaki, jakoto konfitury, konserwy, soki itp. dzisiaj umiejętość ta przy chorobliwej apatji a często bardzo nawet przy niewłaściwyh mrzonkach i zachciankach, dziwnie skarłowaciała. A przecież jeżeli po dziś dzień taki Kijów wraz z okolicą słynie z wyrobu konfitur i konserwów, których rocznie za kilkakroćstotysięcy rubli sprzedaje, czyżby nie jedna z naszych kobiet przy nie wielkim kapitaliku zakładowym nie mogła się temu oddać i przy sobie chociaż po kilka młodych dziewcząt wykształcić?

Poprzestajemy na wyliczaniu tych kilku przedmiotów przemysłowych, które mogą posłużyć do podniesienia dobrobytu na Podolu i innych okolicach bezleśnych kraju. Po za niemi dałoby się wskazać może daleko więcej, lecz stąd wyniklby chaos, któryby do celu nie doprowadził. Daj Boże, by te kilka myśli rzuconych z szczerem sercem znalazły poparcie tam, gdzie należy, a po dziesiątku lat bądźmy pewni, że podolskie Ułaszkowce będą dla nas Bernem, Lipskiem, Wrocławiem lub Frankfurtem nad Odrą, bo na ten świętojański jarmark ściągać będą chętni zakupna hurtownicy ze wschodu, zachodu północy i południa.

CZEŚĆ III.

Równiny i środkowy pas kraju.

Na tak nazwanych równinach i w środkowym pasie kraju, poprzecinanym lasami, spotykamy się znowu w różnych miejscowościach z możebnemi warunkami rozwoju przemysłu domowego, które już omówione zostały w dwóch pierwszych częściach naszej rozprawy. O tych więc w niniejszym rozdziale nie będę powtórnie pisał, ponieważ każdy kto ma chęć rozwinąć u siebie którąkolwiek gałęź przemysłu, obliczy się zapewne z danemi jakie ma pod ręką.

Jedną z najdawniejszych gałęzi przemysłu domowego, bo sięgającą pierwszych epok bytu człowieka na ziemi i związaną ściśle z codziennemi potrzebami, jest garncarstwo, które pomimo ogólnego postępu w rozwoju przemysłu, pomimo usiłowań, aby pewien dany przedmiot zastąpić materjałem innego rodzaju, jak doświadczenie nas przekonuje, nietylko nie dało się usunąć na drugi plan, lecz przeciwnie, coraz nowe, zdobywa zastosowanie.

Pod względem materjału surowego do garncarstwa i wszelkich innych wyrobów, którym są różne odmiany gliny, kraj nasz jest wyjątkowo bogato uposażony. A nawet w pewnym kierunku, co do gliny ogniotrwałej, zajmuje pierwszorzędne stanowisko w Europie. Pokłady nader bogate, prawie nie wyczerpane, w jakie obfituje okolica Krzeszowic pod Krakowem, mają tak wyborną glinę ogniotrwałą, iż pierwsi chemicy i poważni technologiczne przyznali, że z pokładami Krzeszowickiemi czyli Mirowskiemi, j e d y n i e mogą iść o lepsze pokłady szkockie w Warwicku. Dla hut szkła, żelaza, jednem słowem we wszystkich paleniskach, gdzie przemysł jest zmuszony zastosować spotęgowaną siłę ciepła — dochodzącą często do 1.600 stopni Celsiusza i więcej, glinka Krzeszowicka, czyli Mirowska, jest nieocenionym nabytkiem.

Lecz u n a s prawie każdy rodzaj przemysłu musi przejść ciężką i ciernistą drogę doświadczeń. Niewiara, której źródła potrzeba szukać w niestosownym kierunku wykształcenia, w nieobeznaniu z przyrodą i jej skarbami, była przyczyną, że chociaż te pokłady są oddawna znane — i ludzie dobrej woli usiłowali z nich korzystać — tak długo spoczywały w łonie ziemi bezużytecznie, dopóki obcokrajowcy, a mianowicie Prusacy do nich się nie dobrali. Właściciele bez zastanowienia, bo nie z potrzeby materjalnej, oddali im na długie czasy najcenniejsze części. Nad nami jakby ciążyła jaka klątwa, lub jakbyśmy z szczególną troskliwością starali się o to, by z mowy naszej nie zaginęło przysłowie: „mądry Polak po szkodzie.“ Oto gdy Galicja posiada trzydzieści kilka hut szklannych, a których główną podstawą istnienia jest glinka ogniotrwała, z której oprócz pieców, wyrabiają się donice do topienia szkła, prawie wszystkie huty nasze sprowadzały kilka lat temu na ten cel glinkę ogniotrwałą na osi aż z Siedmiogrodu, płacąc w Galicji wschodniej do hut położonych np. w okolicy kołomyjskiej, za centnar 5 złr. i wyżej, gdy tymczasem glinka krzeszowicka wyborowa, teraz z transportem kolejowym, pomimo monopolu jaki właściciele Prusacy nakładają, nie kosztuje więcej jak trzy złr. za centnar.

Glinka ta jest takiej doskonałości, że gdy donice do topienia szkła z najlepszego materjału sprowadzonego z Siedmiogrodu, wytrzymywały zaledwie cztery do sześciu tygodni w nieustającym ogniu, takie same donice z glinki krzeszowicko-mirowskiej stały przy 1.600 stopni Celsiusza nawet do 14 tygodni. Okaz takiej donicy, pod moim zarządem wykonanej w hucie szkła w Mikuliczynie, znajduje się w Muzeum przemysłowem lwowskiem.

Glinka ta rozchodzi się obecnie do Prus, Morawji, Czech, a nawet Belgji.

Glinka Krzeszowicko-Mirowska dlatego zyskała taką sławę, ponieważ zawiera zaledwie jakieś ślady niedokwasu żelaza, przez co osiąga taki wysoki stopień nietopliwości. Użyteczność jej nietylko do celów hutniczych posłuża, ale i do najwytworniejszego ozdobnego garncarstwa i ozdób architektonicznych. Najpoważniejsze dzieła technologiczne i traktujące wyłącznie o glinkach ogniotrwałych, zawierają rozbiory chemiczne tejże. My tylko sami nie umieliśmy dotąd z tego bogactwa korzystać. A tym jednostkom, które oprócz wiedzy i woli, nieposiadały kapitałów, stawiano bezustannie takie zapory, i taką zjadliwą goryczą napawano, dopokąd jak to wyżej nadmieniłem, nieoddaliśmy tego skarbu Kulturträgerom von Draussen. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Ciąg dalszy.)

Przechodząc do pierwszej części dyplomatarjusza tego zaznaczyć musimy fakt, że Tyniec pod względem nierzetelnego podrabiania dyplomatów nie odpadł daleko od swego pierwowzoru tj. od klasztorów szląskich. Z pomiędzy wydrukowanych w tej części 119 (cyfra końcowa 128 wzrosła za dodaniem 9 zapisek sądu krakowskiego z Helcla: Pomników) jest podrobionych dyplomatów 32, a podejrzanych o podrobienie 7, co ogółem stanowi bardzo poważną cyfrę 39 fabrykatów — a więc prawie trzecią część ogólnej cyfry. Jeżeli się tym fabrykatom przypatrzymy, to przyjdziemy do następnych danych: Zakonnicy tynieccy podrabiali najczęściej dyplomaty panujących książąt lub królów, rzadziej bulle papieskie. Aby je prawdopodobniejszemi uczynić, fabrykowano bądź to niby transumpty, bądź to osobne dyplomaty, w których o nadaniach fikcyjnych wyraźna jest mowa — a zawsze pobudką do fałszerstwa nie była *pia fraus* lecz chęć nierzetelnego zysku. Widzimy dalej, że łatwiej można było fałszować dyplomaty królewskie i książęco z powodu, iż klasztor posiadał wielką ilość dyplomatów książęcych, których niektóre z czasem, przez przedanie posiadłości, moc swą prawną traciły a z których pismo wyskrobywano i drugi raz inną treścią zapisywano. Trudniejszą była sprawa z oryginałami bul papieskich, gdyż te na ciężkim pergaminie pisane a ołowianemi pieczęciami opatrzone, dawały mniej sposobności do tego rodzaju eksperymentów. Badawczemu oku p. Kętrzyńskiego udało się nawet odkryć epoki fałszowania. Wydawca rozróżnia ich trzy. Pierwszą epokę stanowią rządy opata Michała (1321—1325), drugą rządy opata Bogdala (1437—1452) trzecią rządy opata Stanisława Baranowskiego (1512—1525). Najbezczelniejszym był drugi opat Bogdal, który w każdym procesie potrafił dostarczyć nibyto oryginalnych świadectw na poparcie roszczeń klasztoru. Nie wszystkie fabrykaty, z których kilka pozostało nam w oryginałach, są dobrze podrobione, i owszem, większa część ich nie przechodzi zwykłych prób pisma — a mimo to są do dziś badacze, którzy idąc za Nouveau traité sądzą, iż w średnich wiekach bardzo skrupulatnie badano pod względem autentyczności oryginały — a przed którem to mniemaniem tak bardzo przestrzega Sickel. I tutaj przychodzimy do przekonania, że królowie i książęta potwierdzali dyplomaty jako autentyczne, które z autentycznemi dyplomatami najmniejszego podobieństwa nie mają!

Ale zapyta nie jeden: dlaczego tak najoczywistsze falzyfikaty drukować, poco tyle kosztów i pracy na wydanie tych strzępków jednego gałgana fałszu? Na to odpowiada bardzo trafnie wydawca, że u nas do dziśdnia nie wiedziano prawie o fabrykatach, a to z powodu, iż poprzedni wydawcy uznawszy dyplomat za falzyfikat albo niedrukowali go, z powodu, iż wychodzili z zasady, jakoby go drukować nie warto było, albo też z powodu dodajemy to od siebie — by nie „rzucać plamy“ na zasłużony ten lub ów klasztor, tę lub ową korporację. Najzgubniejsza to zasada, bo z niej wyszedłszy doszlibyśmy do kolosalnych absurdów. Zresztą i ta korzyść z drukowania falzyfikatów wypływa, że nieraz w późniejszych czasach opierano się na nich — przeto poznanie ich, choćby najniedorzeczniejszej treści, jest wcale na miejscu.

Jako preludjum do tej części kodeksu umieścił p. Kętrzyński w „Przewodniku naukowym i literackim“. 1874 pracę pod tytułem: „Podrobione dyplomaty tynieckie“, która w pewnych kołach naukowych wielkie wywołała oburzenie — czy słusznie, oceni każdy co kodeks przeczyta. Widać że wydawcą nie kierował żaden „hiperkrytycyzm“ lecz tylko usilna chęć poznania prawdy, skoro co się tyczy dwóch dyplomatów (Nr. 5. 10) podejrzenia swe w powyżej zacytowanej pracy podniesione tutaj cofnął. Z drugiej strony uznał wydawca drugiej części p. Smolka jeden z dy-

plomatów w pierwszej części wydanych (Nr. 105) jako podrobiony, (noty do Nr. 156) choć dziwimy się dlaczego tego nie uwidoczniono pod Nr. 250 skoro tenże jest transumptem Nr. 105.

(Dok. nast)

Listy ze świata.

Paryż — Listopad 1876.

(*Ciąg dalszy.*)

Właściciel rodzinnego sioła Szewczenki, Moskal niemieckiego pochodzenia (szczęściem że nie Polak!), zasłyszawszy coś od ekonoma o kursujących po wsi nadzwyczajnych zdolnościach chłopaka, interesuje się jego losem, ale po swojemu, to jest, że zamiast oddać go gdzieś do szkół, rozkazuje go wziąć na kozaczka do dworu swego.

Tu p. Emil Durand robi dość długą od treści dygresję, i tłumacząc czytelnikom znaczenie słowa „kozaczek,“ z wyraźnym przekąsem następne wypowiada rzeczy:

„Kozaczek, dosłownie mały kozak, pełnił funkcje lokajskie p o l s k i e j inwencji, na dworach niektórych panów rossyjskich adoptowane przez naśladownictwo. Brano ze wsi małych wyrostków, odziewano ich w strój narodowy, niegdyś ilustrowany przez wolnych i sławnych ich pradziadów, rozkazywano im udawać błaznów, tańczyć i śpiewać piosnki podejrzanej moralności. Nazywało się to u Polaków protegowaniem ukraińskiej narodowości.“

Nie myślimy robić archeologiczno-lingwistycznych poszukiwań dla stwierdzenia, jak dalece jest prawdą, że funkcje służebnicze „kozaczków“ były istotnie polską inwencją; w inwencji tej bowiem nie widzimy nic gorszego od tej „paziów,“ „groomów“ i innych, do dziś dnia na całym świecie znanych i przyjętych zwyczajów posługiwania się niedoroslemi dziećmi. Nie widzimy również nic złego w stroju narodowym, wkładanym na tych przydwornych malców. W Anglji liberja wielu możnych panów nosi się w narodowym szkockim kostjumie; magnaci węgierscy służbę swoją w ludowe przystrajają szaty, nie wiedząc, iż to według p. Durand wielkiem ma być upośledzeniem. Co się tyczy udawania przez „kozaczków“ błaznów i śpiewania przez nich piosnek podejrzanej moralności, to fakt ten jeśli miał kiedy miejsce, nie był i nie mógł być nigdy obowiązkiem normalnym, przywiązanym do tej posady, a tylko wyjątkowym wynikiem osobistych gustów i usposobień jakiegoś rozpasanego pana.

Uderza nas frazes ostateczny: „To się nazywało u Polaków protegowaniem ukraińskiej narodowości.“ Protegowaniem przeciwko komu? Słowo to musi koniecznie, wywołać takie zapytania. Kiedy się Szewczenko rodził, w r. 1814, kiedy zwłaszcza podrósłszy, na dworskiego wziętym był chłopaka, Polska oddawna już wymazana z liczby państw europejskich, nikogo zapewne nie mogła trwożyć straszliwą swoją przemocą. Ukraina zaś oddawna spoczywała pod opiekuńczem skrzydłem Moskali, znalezionem przez wielkiego patrjotę Chmielnickiego. Narodowość więc ukrainy przypuszczam, przez tych wspaniałomyślnych zagwarantowana opiekunów, niczyim nie ulegała atakom, i niczyjej (wymyślonej zwłaszcza przez Polaków) nie potrzebowała protekcji. Wypowiadając nawet fałsze, walcząc nawet potwarzą, trzeba czynić to zgrabnie, i unikać sprzeczności, bo te najbardziej nawet zaufanym słuchaczom otworzą nareszcie oczy.

Powróćmy do treści:

Przyjęty na dworskiego kozaczka, młody Taras (imię chrzestne poety) w gorszej niż przedtem znalazł się szkole. Ile razy ulegając wrodzonemu pociągowi do nauk, ukradkiem z książką lub ołówkiem w ręku (zamiłowanie do rysunku i malarstwa poprzedziło w nim zamiłowanie do poezji) chciał korzystać z rzadkich wolnych chwilek i choć samopas umysłowym oddawał się ćwiczeniom, tyle razy przez Pana swego (Aj! Aj! Gdybyż to był Polak!) na gorącym złapany uczynku, odbierał surową naganę, a czasem nawet porządne plagi za marnowanie czasu (!)

Trwało to lat trzy przynajmniej. Czas biegł szybko i mały kozaczek na dwudziestoletniego podrósł kozaka. Pan jego częste odbywał podróże i upodobawszy sobie posługi młodego ukraińca, woził go z sobą do Kijowa, Połtawy, Moskwy a nawet do Petersburga.

Podróże te zmieniły nieco na lepsze położenie Tarasa. Gdy pan jego oddawał się raz w mieście szumnym stolicy zabawom, po proszonych objadach i tańczących jeździł wieczorach, to on, zostawiony sam sobie, nie tracił czasu i bądź pożerał wyrwane skąd nie bądź książki, bądź błądził po ludnych ulicach grodu, rozmaite w głębi duszy z tych samotnych wycieczek wynosząc wrażenia.

Ulubionym celem przechadzek jego był ogród tak zwany „Letni“. Spędzał też w nim nieraz całe godziny, ołówkiem na kawałku papieru kopjując posągi, któremi aleje były ozdobione.

Przypadek zrządził, iż stary malarz jeden, także Ukrainiec rodem, przechodząc przez ogród, dojrzał młodego kozaka zatopionego w podobnej robocie. Zainteresowało go to niewymownie; zbliżył się więc a przejrzawszy się rysunkowi i pomówiwszy z autorem jego chwil kilka, niepospolite ocenił w nim zdolności.

Stary malarz liczne i rozgałęzione w stolicy miał stosunki. Silnie zajęty losem utalentowanego współziomka, wszystkie poruszył sprężyny, by go wyrwać z zależnej jego pozycji, i dać mu możności kształcenia się na korzyść swoją i swoich. Usiłowania jego długi czas bezowocne, nie wprzód pomyślnym uwieńczyły się skutkiem, aż rozgłos o wiele obiecującym młodzieńcu doszedł do uszu Żukowskiego, słynnego rossyjskiego poety i nauczyciela przy Wielkim księciu następcy tronu, obecnie panującym cesarzu. Za jego to dopiero pośrednictwem, gdy pan Szewczenki, obstając przy swojem prawie, puścić na wolność kozaka żadną się nie zgadzał miarą (Aj! Aj! żeby to był Polak!) dopiero wtedy urządzoną została składkowa loterja i pieniądze 2,500 rubli assygnacyjnych (650 rubli srebrem) zebrane na tej drodze, poszły na wykupienie młodzieńca z poddaństwa i na umieszczenie go w cesarskiej Akademji Sztuk pięknych.

Działo się to w 1838 roku. Szewczenko miał już zatem lat 24, ale zajęty jedynie ołówkiem, wcale jeszcze piśmienniczych nie próbował zdolności.

Pierwsze próby jego w tym rodzaju datują o ile nam się zdaje z następnego roku.

Sądziłby kto zapewne, iż rozbrojona, udobruchana raz nareszcie dola, przyjaźniejszą ku nieszczęśliwemu zwróci się odtąd twarzą i o lepszej przyszłości marzyć mu pozwoli.

Tak — gdyby nie było cesarza Mikołaja.

Ale Mikołaj egzystował i egzystował w pełnem „apogeum“ swych rządów kamiennych, żelaznych, zadławiających.

Szewczenko nie byłby samym sobą, nie byłby marzycielem, poetą, gdyby się im zgiąć pozwolił; gdyby swej młodzieńczej natchnionej i hardo w górę strzelającej skroni, o ich niskie, zaduszne nie roztrzaskał sklepienia.

Działo się to między 1839—1844 rokiem, i czas ten był jedyną jeśli nie szczęśliwą, to przynajmniej swobodną epoką za życia poety i najbardziej produktywnym działalności jego perjodem.

Wolność Ukrainy, ponslawizm nie monarchiczny, broń Boże! lecz pojęty w formie federacyjnej rzeczypospolitej wszystkich plemion słowiańskich, to były fundamenta politycznych przekonań młodego pisarza.

Nie mogły się one zgadzać z zapatrywaniem się na rzeczy pseudo-niemieckiej dynastji usadowionej na tronie rossyjskim, bo w fundamentalnych wstrząsały ją zasadach.

W 1846 roku, wplątany w konspirację jakąś mniemaną i w imaginacji rządu tylko istniejącą, Szewczenko skazany w sałdaty na całe życie, zesłanym został do małej forteczki nad brzegami Arolskiego jeziora, z surowym, własnoręcznie przez cesarza Mikołaja na wyroku dodanym zakazem: „Nie pisania (!) i nie rysowania (!!) nigdy“.

Wyobrazicie sobie bez trudu, w jakiem ohydnem piekle nieszczęśliwy marzyciel, od 1846 do 1855 r. do śmierci cara Mikołaja całych lat zatem dziesięć, męczeńskiego swego spędził tam żywota.

Jenerałowie moskiewscy nie tylko że wyroki podobne, co do litery, z niewolniczą spełniali subordynacją, ale jeszcze częstokroć w paroksyzmach gorliwości, osobistem obostrzali je okrucieństwem. Czy zadziwimy więc kogo, dodając, że nieszczęśliwa ofiara ich prześladowań, uciekając przed ohydą realizmu i sztucznych szukając marzeń, zaczęła pocieszać się gorzałką, że powoli, powoli, namiętnie temu strasznemu oddała się nałogowi?

Nie sądzimy! Ktokolwiek zamieszkiwał Rossję, wiedzieć musi, jak często tam podobne zdarzają się wypadki. Szukać pociechy i zapomnienia w dzbanie, leży w naturze ludzkiej w ogóle, a w naturze Sławian rzekłbyś *par excellence*. Nic dziwnego. Nieszczęśliwa, rozdarta i uciemiężona ta rasa, mało dobrych rzeczy ma do przechowania we wdzięcznej pamięci; natomiast pod dostatkiem klęsk i niedól, o których zapomnieć by się chciało. Ułaskawiony, za wstąpieniem na tron obecnie panującego cara, Szewczenko otrzymał pozwolenie na powrót najpierw do Niżnego Nowgorodu, a w rok potem do Petersburga. Lecz złamany na duchu i ciele, nadwątlonego zdrowia, coraz to namiętniej oddając się nałogowi powziętemu na wygnaniu, smętnym już tylko był cieniem dawnego młodziana, pełnego życia i porywów w górę. Mało już co napisał, i to co napisał, nie dorastało do dawniejszej miary piękna. Ziemska tułaczka jego miała się już ku końcowi. Nie męczył się przynajmniej długo, i w 1861 roku mając zatem lat 47, po krótkiej chorobie (jeśli tak rzec się godzi, cały bowiem żywot jego niczem więcej, jak tylko jedną, długą był chorobą) do lepszej przeniósł się ojczyzny.

(Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Statut Wiślicki w polskim przekładzie r. 1460. Przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego wykonał A. Piliński. Nakładem bibljoteki Kórnickiej, 1876 r.

Kodeks kórnicki zajmuje w rzędzie przekładów polskich Statutu Wiślickiego, po tłumaczeniu Świętosława z r. 1449 drugie miejsce. To samo nadaje mu już wielką wartość pod względem badań prawniczych. Profesor dr. Antoni Małecki przyznaje mu w rzędzie pomników dawnej mowy polskiej piąte miejsce. Hr. Jan Działyński, wydając ten kodeks w wiernej podobiźnie, wielką oddał przysługę badaczom naszego prawodawstwa i naszego języka. A. Z. Helcel w „Starodawnych prawa polskiego pomnikach“ pozostawił nam dokładny i umiejętny opis tegoż kodeksu.

Niemiecka.

— Russische und baltische Charakterbilder aus Geschichte und Literatur. Von Julius Eckardt, Leipzig — 1876.

Dzieło to w pierwszem wydaniu wyszło pt. „Baltische Culturstudien“ i zawiera następujące rozprawy, na które zwracamy uwagę: Philipp Wigel, der deutsche Nationalrusse. Die altgläubigen Sectirer in Russland, Oesterreich und der Türkei. P. M. Leontjew und die russische Presse. Die neue Formel der Civilisation. Iwan Turgenjew und seine Zeitgenossen etc.

— Wanderjahre in Italien von Ferdinand Gregorovius. Fünfter Band. Leipzig — 1876.

Poprzedzające tomy doczekały się już kilku wydań. Czytająca publiczność i ten tom przyjmie zapewne z takiem samem uznaniem. Autor opisuje w tym tomie Apulję, i łączy opisanie kraju z historją Włoch, z czego jak w poprzednich tomach powstają obrazy nader pociągające.

— Briefwechsel zwischen Schiller und Cotta. Herausgegeben von Wilhelm Vollmer. Stuttgart, Cotta, 1876.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Artykuł nasz o *Gazecie Lwowskiej*, umieszczony w numerze poprzedzającym, został powtórzony przez wszystkie dzienniki niezawisłe wychodzące w Galicji.

— Pierwsza z komedyj Fredry, które zostały w manuskrypcie po wielkim tym pisarzu, pojawi się wkrótce na scenie lwowskiej. Jej tytuł: „Wielki człowiek do małych interesów.“

— Henryk Siemiradzki protestuje w dziennikach warszawskich, przeciw „Kłosom“ i „Tygodnikowi ilustrowanemu,“ które reprodukując jego „Elegję“ zrobiły nie obrazy, ale bohomazy. Już to powiedziawszy prawdę, często się to zdarza ilustracjom warszawskim.

— Z historycznych powieści J. I. Kraszewskiego wyszła trzecia pt. „Bracia Zmartwychwstańcy.“

P. Krystyn Ostrowski wynalazł w bibljotece paryskiej wizerunek Kopernika, z napisem następującym: „Copernic de Torn en Pologne, fameux Mathematicien, ne lan d J. Christ 1473. murut lan 1543. — Non docet instabiles Copernicus aetheris orbes – Sed terrae instabiles arguit ille vices. - A Paris — Chez Vallet.“ P. Ostrowski kazał ten wizerunek przerysować i odbić w kilkudziesięciu egzemplarzach. Odkrycie to jest dla tego ważne, że na rysunku współczesnym Kopernikowi, przyznano mu narodowość polską, której mu dziś Niemcy odmawiają, chcąc go gwałtem zrobić Germanem.

— We Lwowie produkował się w ubiegłym tygodniu trzynastoletni pianista, Rosenthal, dawny uczeń Mikulego, a dziś Joseffy'ego. Młody ten muzyk wprawił w zdumienie licznie zgromadzone audytorjum, biegłością w grze i zrozumieniem mistrzów, których dzieła wykonywał. Znawcy rokują mu świetną przyszłość.

Dnia 1. grudnia 1876 otwartą została w Sztokholmie na placu Gustawa II w pałacu księcia Adolfa, wystawa amatorska zabytków przeszłości, sztuki i przemysłu. Zacząwszy od króla, historycznych rodzin, które w domach swoich przechowują liczne pamiątki zdobyte podczas wojen w Polsce i w Niemczech podczas trzydziestoletniej wojny, wzięli w niej udział prawie wszyscy właściciele zbiorów. Wystawa ta jest bardzo bogatą, piękną i ciekawą. Pomimo iż Szwecję od lat 40 plądrują antykwarjusze angielscy, niemieccy, dyplomaci moskiewscy, francuscy, hiszpańscy i angielscy, jest to kraj obfitujący jeszcze w dzieła sztuki, przemysłu i w pamiątki historyczne; opis więc wystawy, który zapewne nadesłany nam będzie, przedstawi nie jeden szczegół zajmujący dla polskich starożytników. W Sztokholmie mieszka od 1863 rodak nasz p. Bukowski, starożytnik, wielce ceniony w Szwecji. Po śmierci królowej, panujący obecnie król powierzył mu opisanie i ocenienie przedmiotów sztuki i pamiątek historycznych, które zmarła z zamiłowaniem gromadziła. Pan H. Bukowski wydał po szwedzku katalog ocenionego przez siebie zbioru. Po śmierci pana Tomma, który posiadał bardzo bogate zbiory w Oesterly i w Danemery dzieł sztuki i starożytności, wezwano także p. H. Bukowskiego jako znawcę do cenienia przedmiotów w nich znajdujących się i podzielania ich pomiędzy dziećmi. Spadkobiercy wdzięczni naszemu ziomkowi za podjętą pracę, ofiarowali mu portret króla Sobieskiego, rytowany przez Hovge w 1674 roku i pięć rycin kwiatów rytowanych przez naszego Falcka w XVII wieku. W zbiorach po śp. Tommie znajduje się portret króla naszego Zygmunta Augusta, malowany na blasze w XVI wieku, który p. Bukowski w Szwecji nabył, blisko sto sztychów naszego Falcka i przesłał je w darze do Muzeum narodowego w Rapperswylu. – Oprócz tego przesłał już po wiele razy do tego Muzeum wiele medali polskich i niezmiernie cennych pamiątek polskich, które nabył w Szwecji. Dzięki jemu, mnóstwo przedmiotów zabranych przez Szwedów w Polsce w XVI wieku, stały się znowuż własnością narodu polskiego. Muzeum bowiem w Rapperswylu, gdzie się znajdują obecnie, zostało jak wiadomo zapisane przez założyciela hr. Władysława Platera na własność narodu polskiego, i po oswobodzeniu Polski, rząd narodowy będzie miał prawo przenieść je z Szwajcarji do Polski.

Nekrologja.

† Narcyza Żmichowska. (Gabryela.)

Zmarła w Warszawie d. 25 grudnia r. 1876.

Sieroctwo u kolebki, młodość cicha i smutna, rzadkim tylko przelotnym promykiem jaśniejszym rozpogodzona, dramat, po nim samotność, cisza i milczenie, myśl, tęskniąca do światła a skrępowana w najtajniejszych zakątkach duszy, oto czynniki życia kobiety, oto wyjaśnienie genjuszu poetki, która drogą prób wielu i wielu boleści, ciężkich i niezasłużonych szła tęskniąca, niespokojna, w nadziei zachwiana, a jednak, siłą duszy i potęgą wiary, do kresu życia uchronić się zdołała od losu, jaki zbyt często jest mniej hartownych serc udziałem: od zwątpienia. Dla tego to wyrazy żalu i czci, wobec nie zasypanej jeszcze mogiły kreślone, podwójne mają znaczenie: są one hołdem, oddanym zarówno Narcyzie Żmichowskiej jak Gabryeli, zarówno kobiecie jak i poetce, zarówno zdolnościom jak charakterowi.

Śp. Narcyza Żmichowska, córka Jana, pisarza żupy solnej w Nowem mieście, i Wiktorji z Kiedrzyńskich, przyszła na świat dnia 4 marca 1819 roku w Warszawie. w domu swego stryja, Józefa Żmichowskiego, pisarza trybunału, który mieszkał przy ulicy Sto. Jerskiej, w sąsiedztwie dawnego lokalu *Gazety Warszawskiej*. Już w progu życia powitały dziecinę łzy smutku i najstraszliwsza ze wszystkich niedola: w trzy dni po narodzeniu straciła matkę. Maleńką sierotkę przygarnęli do siebie wujowie, zamieszkali w wiosce Kutlewie, gdzie też kilka pierwszych lat swego życia przepędziła. Następnie zaś, gdy wcześnie rozwijające się nadzwyczajne zdolności dziewczęcia żywiej łaknąć zaczęły światła wiedzy, pomieszczoną została w pierwszym naówczas zakładzie wychowawczym pani Wilczyńskiej, który istniał w pałacu Kernera. Z biegiem czasu, gdy pensja pani Wilczyńskiej została zamienioną na instytut rządowy, młoda Narcyza, sposobiąca się do zawodu nauczycielskiego, została tamże, pod macierzyńskiem okiem swej dawnej ochmistrzyni, aż do ukończenia nauk. Po opuszczeniu instytutu, przemieszkiwała czas niejaki w Meżeninie u wujostwa, lecz pragnąc wypróbować młode siły w obranym przez siebie zawodzie, przyjęła obowiązki nauczycielki u hr. Ordynatów Zamojskich, z których domem udała się za granicę, a następnie do Paryża. W owym to czasie zapewne napisane zostały „Wyjątki z podróży kobiety,“ zawierające trzy ustępy: „Gibraltar,“ „Zwaliska Luxoru,“ drukowane w *Bibliotece Warszawskiej* z roku 1842, i „Burza“ drukowana w czasopiśmie *Zorza*, wychodzącem pod redakcją Walentyny Trojanowskiej. Ostatni ten ustęp, odznaczający się głębokością myśli, potęgą uczucia i niedającym się opisać wdziękiem wysłowienia, wzbudził onego czasu niekłamane uwielbienie w kołach literackich Warszawy. Pamiętamy to sami jak czcigodny Jachowicz, od znajomych do znajomych, od domu do domu chodził z numerem *Zorzy* w kieszeni, zbierał w kółko chętnych słuchaczów i zaczynał:

„Burza dziś będzie — rzekł spokojnie kapitan okrętu, wskazując stojącej obok siebie kobiecie zachmarzony w dali widnokrąg.“

I w miarę czytania, głos jego przenikliwy rósł, potężniał, rozogniał się, aż do wyrazów ostatnich:

„Lecz kiedy pieśń zagrała w duszy objawieniem poezji, a myśl o Bogu rozwinęła się we wzniosłe pojęcia, w czystą wiarę, gołębica nie zadrżała przed piorunem, a słaba kobieta stanęła w równi z najodważniejszym mężem.“

I skończywszy czytanie, z tymże samym zapałem wołał: „Tak pisać musi, kto chce zostać wielkim u potomnych.“ Zaiste, w tych pierwszych pracach objawił się talent wielki, niezwykły, skończony, świadomy dróg swoich i z młodzieńczą energją pewnym po nich stąpający krokiem. „Burza“ była zapowiedzią „Poganki.“

Po przybyciu do Paryża, młoda nauczycielka opuściła dom hr. Zamojskich i zamieszkała ze swoim bratem, Erazmem. Wtedy to uwolniona od zajęć obowiązkowych, gorliwie jęła się pracy literackiej. Pierwszym jej drukowanym utworem poetycznym był wiersz pt. „Szczęście poety“ ogłoszony w noworoczniku „Fjołek.“ Oryginalne obrobienie tematu, nowość myśli, iście kobieca rzewność i wdzięk, a męska siła formy, wszystko to odrazu objawiło czytelnikom nową a świetną gwiazdę na niebie rodzinnej poezji. W zakończeniu tego widocznem jest bliskie pokrewieństwo duchowe młodej poetki z Adamem:

„Kamień nie czuje,“ ludzie powiedzą;
O, nie wierz ludziom, dziewczyno!
Żyły kamienia iskrami płyną,
Choć ludzie o tem nie wiedzą.
Twardsze od twardych gromów mam czoło,
A chociaż śniegi spadną w około,
Pierś ma zimniejszą od śniegu,
Tylko, że pierś ta inuym ukrywa
Tlejącą iskrę dawnych omamień.
Więc po raz trzeci jestem szczęśliwa,
Jestem szczęśliwa... jak kamień.

W ślad za tym pierwszym utworem pojawił się w Poznaniu, w 1845 r. tomik drobniejszych prac wierszem i prozą, pt. „Wolne chwile.“ Tytuł ten był w związku z położeniem autorki, o którem wyżej wspomnieliśmy. Zawód nauczycielski, kształcenie młodszych „siostrzyczek,“ kształcenie nie tylko umysłowe lecz duchowe przedewszystkiem, było stałem dążeniem śp. Narcyzy, i ta, że tak powiemy, wrodzona potrzeba duszy, stała się jedną z przyczyn, które ją skłoniły do powrotu do kraju. Do tej epoki odnosi się wiersz „Do moich dziewczynek“ klejnot drogocenny wśród tylu klejnotów, a kończący się niemal skargą, cichą i pokorną, a niby smętnem przeczuciem cierpienia:

Lecz wy daleko!... Ach tam inaczej
Może im szczęście kto wytłumaczy?
Może je złudzi inną nadzieją?
To co im mówię, czyż zrozumieją?
O, gdyby mogły!... Dziewczynki moje!...
Lecz ja daleko, daleko stoję...
I jeszcze dalej smutna odchodzę:
Szczęść Boże lepiej dziewczynek drodze!

Największa i najszczytniejsza działalność poetyczna Gabryeli przypada na lata 1846 i 1847. W owym to czasie „Przegląd naukowy“ wychodzący pod redakcją Hipolita Skimborowicza, ogłosił największą co do rozmiarów, a jedną z najwznioślejszych co do polotu ducha pracę poetki, powieść p. t. „Poganka.“ Był to niejako śpiew łabędzi z pierwszej epoki życia autorki, tak jak drukujący się obecnie w „Wieku“ utwór, jest jej śpiewem łabędzim z epoki drugiej, z epoki odpoczynku po długoletnich próbach, jej dziełem ostatniem, na łożu śmierci pisanem, jej duchownym testamentem dla nas i naszych następców. Równocześnie prawie pojawiła się „Księga pamiątek“ i odtąd Gabryela, na czas długi zamilkła. Raz tylko jeden ciszę swą przerwała językiem boju, dając tem znać niejako hołdownikom swogo talentu, że żyje, i że genjusz jej, spowity w samotności, ani jednego pióra ze swych orlich skrzydeł nie uronił.

Po kilku latach mieszkania w Lublinie przeniosła się śp. Narcyza na stały pobyt do Warszawy i tu do końca życia pozostała, a nie mogąc już pełnić obowiązków, którym wszystkie dni swoje z prawdziwie chrześcijańskiem zaparciem się siebie chciała poświęcić, usiłowała przynajmniej pośrednio wpływać na kształcenie młodego pokolenia, na wyrób duchowy i umysłowy niewiast naszych, i tę myśl urzeczywistniając, wydała „Wykład nauk, przeznaczony do pomocy w domowem wychowaniu panien“ i „Geografję“ w dwóch obszernych tomach. Dzieła te wyszły z druku w r. 1857 i 1858. (Drugie wydanie wyszło w roku 1873.(W roku zaś 1861, śp. Jaworski wydał całkowity zbiór jej prac poetycznych, do których i ujęte w formę prozy zaliczamy,) pt. „Pisma Gabryeli.“ Odtąd o ile wiemy, przez lat przeszło dziesięć stroniła od pióra. W ostatnich dopiero czasach, jakby czując bliską ostatnią chwilę i pragnąc do końca być użyteczną krajowi, na nowo i z młodzieńczą energją jęła się do pracy. Pod jej redakcją wyszło, kończące się obecnie wydawnictwo dzieł Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, opatrzone przypiskami pióra Narcyzy, a ostatnią po niej duchową spuściznę, którą drętwiejąca już dłoń kreśliła, zdołało pozyskać pismo „Wiek.“ Ciężkie, długie cierpienie tamowało gorące pragnienie autorki; nie mogąc pisać, dyktowała swe dzieło, troszcząc się do końca o los tej ostatniej po sobie pamiątki... Zgasła w dniu 25 grudnia, o go. dzinie 2 po północy, otoczona licznem gronem krewnych i szczerych przyjaciół, otrzymawszy przed zgonem żywe z wielu stron dowody czci i wdzięczności, zarówno od posiwiałych mężów nauki, jak i od młodzieży, której dobro było jedynym celem jej szlachetnego i pełnego poświęceń życia.

U progu wieczności żegnamy ją jej własnemi słowy; one lepiej nad wszystko co moglibyśmy powiedzieć, wskażą nam i wyjaśnią, jaki duch uszedł z pomiędzy nas, i dlaczego pragniemy, aby wieść żałoby w dal się rozbiegła i w każdej prawej duszy oddźwięk znalazła serdeczny:

Więc też spokojna na Boga się zdałam
I nie tak gorzko umarłych płakałam,
Ja, co mam umrzeć; o! ja nie na groby
Tyle wylałam cierpienia żałoby,
Ale mi smutno, bo dziś jako cnotę
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną..
A chyba w sądu godzinę okrutną
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić nie wolno!

Wł. N.

ROZMAITOŚCI.

— Jedną z najoryginalniejszych mrzonek Wschodu, zajmujących obecnie więcej niżeli kiedykolwiek fanatyczny umysł Muzułmanów, a odurzających zdrowy rozum podobnie jak opium, jest bez wątpienia silna ich wiara w niewidzialne jakieś potęgi, które śmiertelnikowi bądź szczęście przynoszą bądź nieszczęście, działalność zaś ich wrzekoma przywiązana jest jedynie do pewnych przedmiotów. Jak w czasach biblijnych wierzono, że król Salomon mocą swojego pierścienia panował nad demonami i innemi duchami, nad zwierzętami drapieżnemi, ptakami, rybami, a nawet cztery żywioły ziemskie były posłuszne jego woli; jak nieocenionej wazie turkusowej Dschemschida w starej Persji przypisywano także podobnie cudowną władzę, tak z niemniejszym pietyzmem wierzy i dziś wojownik muzułmański w iście nadziemską siłę amuletu lub talizmana, który bądź to jako spuściznę cenną po przodkach dostał w udziale, bądź z błogosławieństwem otrzymał od jakiego mądrego a życzliwego mu ulemy lub softy, albo też w najgorszym razie kupił go sobie w bazarze stambulskim za kilka tuzinów piastrów. Liczba rozprószonych po świecie mahometańskim talizmanów wynosi bez wątpienia tyle miljonów, że równa jej suma dukatów byłaby w bieżącej chwili dla tureckiego skarbca państwowego najskuteczniejszym ze wszystkich talizmanem. Gdy żołnierz turecki mimo amuletu w kieszeni w boju legnie, to towarzysze jego mniemają bogobojnie, że on padł za wolą Allaha, który przecie potężniejszy od siły talizmana, wiernego zaś sługę swojego powołał w nagrodę wprost do raju proroka. Z tą też myślą przewodnią wierzą dalej nie mniej silnie w moc posiadanego amuletu, i żadne niepowodzenie nie zachwieje tej ślepej ufności. Cenniejsze talizmany Wschodu są zwykle z djamentów lub innych kamieni kosztownych, na których wyryte są arabskie lub indyjskie słowa, albo inne jakie mistyczne figury. Amulety ludzi biednych są oczywiście co do wartości realnej w obec tamtych nic nie znaczącemi drobiazgami, nie mniejszą jednak od nich posiadają siłę, bo równie przesąd panuje potężnie w piersi tych jak tamtych. Jest on niejako drugim biegunem tej wiary niezachwianej, że każdy w boju poległy dostaje się zaraz do raju Mahometa i używa tam pełnych rozkoszy. Przyznać trzeba, że to przekonanie przyczynia się w wysokim stopniu do zdwojenia męstwa i zapamiętałośści w walce muzułmańskiego żołnierza. Biednych i nieświadomych uczy tradycja; bogaci zaś i wykształceni czerpią z kosztownych ksiąg, które przechowywane bywają z największą troskliwością z wieku na wiek, tłumaczeniem zaś zawartej w nich wiedzy trudnią się tak zwani „munedgimy“ czyli astrologowie. Uczeni ci, nie tylko przepowiadają pojedynczym jednostkom dobrą lub złą przyszłość, ale umieją także sporządzać takie muskas'y czyli talizmany, które sprowadzają posiadaczowi dobrą dolę, lub też złą stanowczo odwracają. Łatwo zrozumieć, że wyzyskiwanie tego przesądu przez panów astrologów muzułmańskich, stanowi im niewyczerpane źródło dochodów. Amulety te sporządzane są zwykle z przeróżnych substancyj: i tak np. z włosów jakiegoś mordercy, z prochu utartego z jego kości, na koniec z części ubrania, które stracony na rusztowaniu miał na sobie. W Konstantynopolu i w Kairze magicy utrzymują po dziś dzień szkoły, gdzie uczęszcza wielu słuchaczów, i w których urządzają czasami formalne przedstawienia przed zaproszoną na ten cel publicznością. Te szkoły wróżbiarskie trudnią się także wyrobem talizmanów. Co do wspomnianych produkcyj, odbywają się one w sposób następujący: Gdy już się publiczność zgromadziła, uczniowie rozpoczynają cichy i monotonny śpiew, któremu towarzyszy „tamtam“ i głos nader prymitywnego fletu. Zwolna śpiew i instrumenta potęgują się, tak pod względem tonów jak i energji w wykonaniu, aż produkujący się popadają w końcu w stan szalonego obłędu, w którym ogień pochłaniają, miecze połykają, kaleczą się dotkliwie, pozornie nie czując najmniejszego cierpienia, i inne dokazują sztuczki, wprawiające widzów w podziw i zdumienie. Talizmany sporządzone w szkołach magików, albo przez szeików, słynących z wiedzy i pobożności, dzielą się na kilka kategoryj. 1. talizmany, które chronią od obłąkania, nazywają się „nushret;“ 2. te, które godzą nieprzyjaciół, „kebles“; 3. chroniące od oczarowania „gezjaw“; 4. „azimet“ służą przeciw ukąszeniu jadowitego węża; 5. „sulwan“ leczą od „zadanej“ podstępem miłości, a poświęcane bywają w wodzie dobytej z grobu; 6. środek poszukiwany szczególnie przez młode kobiety, mający przyciągnąć im kochanka, nazywa się „aifel“ czyli „spandulix“; 7. „ahrot“ zabezpiecza przeciw przypadkowemu nieszczęściu; 8. „akhzet“ sporządzany bywa z tasiemki, a przeznaczeniem jego utrzymywać wierność małżonka. Artykuł to poszukiwany bardzo wśród haremów, przyczem zdarza się często, że zazdrośna rywalka wykrada go i pali; 9. „napret“ zrobiony z niebieskiego szkła w kształcie ręki, zabezpiecza przeciw „złym oczom.“ Podobnie tym, także wszystkie przedmioty, znalezione w grobach, uważane są za nader skuteczne i potężne talizmany. To też Arabowie handlujący tz. skarab'ami czyli małemi bożyszczami, znalezionemi w starych grobowcach egipskich, robią zazwyczaj bardzo dobre interesa. Arabowie noszą również przy sobie t. z. „magiczne tabliczki,“ które pokryte są mnóstwem znaków mistycznych, i służą do wróżbiarstwa i wykładania snów. Przy tem ostatniem niezbędną jest, według ich mniemania, nader wielka dokładność i uwaga: czy materjał stosowny i czy pora korzystna; wiedzieć bowiem należy, że każdy rok, miesiąc, tydzień, dzień a nawet godzina ma swojego specjalnego anioła stróża, którego pozwolenie wróżbita wpierw pozyskać musi, jeśli się ma mu powieść robota. W Konstantynopolu i w tureckich obozach widzieć można często pojedynczych Arabów lub liczne ich grupy, zatrudnione pilnie temi tabliczkami, z których wyczytać usiłują rezultat bitwy najbliższej. Gdy horoskop brzmi pomyślnie, zdwaja ich męstwo, w przeciwnym razie idą na spotkanie nieprzyjaciela bardzo niechętnie i ostrożnie. I samo sporządzanie talizmanów wymaga nieodzownie bacznej obserwacji wielu przepisów, podyktowanych przez tradycję lub księgi odnośne. Z czegokolwiek one są, a mianowicie czy z drogich kamieni, kryształu, kruszcu, drzewa, zwierzęcej nakoniec lub roślinnej substancji, zawsze muszą być szukane i znalezione pod opieką ducha panującego w oznaczonym na ten cel dniu; w innym dniu i z protekcją innego anioła, bywają talizmany przyrządzane, ukształtowywane lub grawowane; na ostatek należy jeszcze postarać się o łaskę trzeciego z rzędu ducha, jeśli talizman posiadać ma w ogóle jakąkolwiek wartość. Uroczysta ta niedorzeczność kontynuje się aż do chwili, gdy sprzedający zawiesza kupującemu talizman na szyi. Początki tego przesądu sięgają niewątpliwie gdzieś aż do zamierzchłej przeszłości. Pewne wiadomości niektórych praw chemicznych, znajomość właściwości roślin pewnych, wszystko to wystarcza by sprowadzić rezultaty, nie zrozumiałe ciemnemu prostaczkowi a otaczające sprawcę w oczach ostatniego jakimś mistycznym a potężnym urokiem. Pomyśleć łatwo, jakie tu pole do wyzyskiwania zabobonnych tłumów! Atoli nawet ludzie wykształceni nie są zupełnie wolni od tego przesądu. Wiadomo n. p. ogólnie, że obecny wielki wezyr Midhat pasza posiada djament z mistycznym jakimś napisem, o którym to talizmanie krążą po Stambule przeróżne wersje. Jedni opowiadają, że djament ten znaleziono w jego rękach, gdy był niemowlęciem w krótkim czasie po urodzeniu się, a rodzice uważali to zdarzenie za zapowiedź przyszłej jego wielkości. Inni znowu, a mianowicie przeciwnicy Midatha twierdzą, że dostał go podarkiem z Zachodu, a do talizmana tego przywiązane są złe jakieś czary, które na niekorzyść islamu robią Midhata przychylnym „giaurom“ Przypuszczać należy, że ta wiara przesądna w duchy i talizmany u ludzi wykształconych pochodzi po największej części z mistycznych poezyj i innych utworów bujnej fantazji Wschodu, że przypomnimy tu tylko ogólnie znane dzieło „Tysiąc i jedna noc.“ Tak w tem jak i innych co krok to spotyka się opowieści o duchach, talizmanach itp. Młodzież to czyta chętnie, oczywiście nie może się oprzeć silnym wpływom, a wpływy te trwają potem do późnej starości, do końca życia. Czyż na koniec dziwić się tak można zakochanym w przesądzie dzieciom Wschodu, gdy oto nawet wielu chłodnych i rozumnych mieszkańców Zachodu hołduje zabobonowi? Przypomnijmy sobie jeno przesądność Napoleona I i IIIgo. Tysiąc przecie względów składa się na to, by w tej mierze usprawiedliwić przesądnego Wschodowca. Jakąż tam siłę cudowną przypisują np. róży. Już sułtan Saladyn w r. 1188 wierzył w moc jej czarodziejską, skoro po zajęciu Jerozolimy nie prędzej chciał wstąpić do świątyni, aż ściany jej zostały obmyte wodą różaną. Do sprowadzenia na to potrzebnej ilości tego płynu wonnego, użyto pięciuset wielbłądów. A gdy Mohamet II w r. 1455 zdobył Konstantynopol, zmywano uroczyście kościół św. Zofji wodą różaną, zanim przemieniony został na meczet. Dla bibljografów byłyby stare księgi czarnoksięskie tureckich i egipskiskich magików, wcale pożądaną i ciekawą zdobyczą. Są to prastare księgi in folio, na pergaminie, purpurowym, czarnym lub złotym płynem pisane, najczęściej w arabskim lub perskim języku. Że wiarę w duchy przejął świat mahometański przeważnie od Persów, dowodem nazwy tych duchów i pojęcia o nich czysto perskie. Wiedzieć bowiem należy, że język arabski prócz nazw dla aniołów i szatana, nie ma żadnych wyrazów dla rzeczy i wyobrażeń nadludzkich. Reasumując wszystko powyższe, łatwo przyjść do wniosku, że gdy świat mahometański kiedyś w stanowczej chwili w zapasy stanie, wówczas te przesądy i ta wiara ślepa indywiduów, będzie ważnym i wiele decydującym co do wyniku takiej walki czynnikiem.

— Publiczność, stanowiąca w dzisiejszych czasach parkiet teatrów, jest w ogóle spokojną i poważną, i różni się niezmiernie a przytem korzystnie od owej dawniejszych czasów. Monselet twierdzi nawet, że parkiet we właściwem znaczeniu nie istnieje obecnie, i aby udowodnić, jak to się dawniej zdarzało po teatrach, opowiada następującą historyjkę, której widownią była raz opera paryska w połowie minionego stulecia. Amfiteatr był przepełniony i dość niespokojny. Parkiet wyczekiwał niecierpliwie rozpoczęcia uwertury, gdy w tem wśród świetnego towarzystwa lożowego, zjawił się jakiś nieznajomy mężczyzna, w długim, ciemnym surducie, z komiczną twarzą i wąsem niezwykle w górę zakręconym. Przybyły ledwie usiadł, gdy w tem odezwał się jakiś głos z parkietu: — „Precz z temi wąsami!“ Za pierwszym poszedł drugi i trzeci, i wnet jak na komendę krzyczał cały parkiet: „Precz z temi wąsami!“ Nieznajomy w loży popatrzył ciekawie na salę, i widocznie śledził za owemi wąsami. Gdy ich nie znalazł, dotknął się ręką własnego zarostu, i zapytał widzów gestem, czy to o nim mowa? „Tak, tak!“ zagrzmiało w odpowiedź ze wszystkich stron parkietu. Na to nieznajomy podniósł się, skłonił się uprzejmie publiczności i znikł. „Brawo wąsy!“ — zabuczało ze stu gardzieli, i frenetyczne oklaski zatrząsły amfiteatrem. Zwolna gwar uspokoił się, i niebawem zapomniano o przyczynie poprzedniego hałasu, gdy w tem nieznajomy ów zjawił się ponownie i usiadł na swojem miejscu. Nowy wrzask i okrzyk jednolity: „Precz z wąsami!“ Tym razem jednak nieznajomy zrzucił płaszcz, dobył z pod niego flintę, i jak myśliwy na stanowisku, zmierzył nią z flegmą w to miejsce, skąd dochodziły go najliczniejsze okrzyki. Jak pod uderzeniem laski czarnoksięskiej hałas niesforny ustał, i tylko damy zachowały odwagę; i nuże zaczęły klaskać i wołać: „Brawo wąsy!“ Teraz nieznajomy skłonił się z podziękowaniem za oklaski, opuścił flintę do nogi, usiadł, i ze spokojem wysłuchał przedstawienia, które się w chwilę potem rozpoczęło było.

— W małej miejscowości Zeleznik w komitacie Sarocz na Węgrzech, podczas gdy dnia 29 z. m. dzieci bawiły się w wojnę „moskiewsko turecką,“ naczelnik armji moskiewskiej rzucił z taką gwałtownością kamieniem na swego przeciwnika, że pocisk padłszy przez otwarte drzwi do szynku, ugodził w głowę szynkarkę, która niezwłocznie ducha wyzionęła. Nieszczęśliwa pozostawiła 5 drobnych dzieci. Jest to więc pierwsza ofiara wojny turecko moskiewskiej.

Treść Nr. 18.

Egoizm narodowy; *Żeliga,* powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.); *Franciszek Karpiński i jego poezja* przez J. Tretiaka (c. d.); *O pracy umysłowej,* przez Dr. J. Ochorowicza (c. d.); *Nina* obrazek z życia przez Zofję R. (c. d.); *Rusałki* wiersz Izy; *Gabryel Conroy* romans Bret Harta (c. d.); *Listy z Niemiec II*; *Wzrost i rozwój armij stałych w Europie* przez Leopolda Winklera (c. d.); *Pogadanka* J. Lama; *O potrzebie rozwoju przemysłu małego czyli drobnego w Galicji* napisał Jan Nep. ż Oleksowa Gniewosz (c. d); *Piśmiennictwo polskie Kodeks dyplomatyczny klasztoru tynieckiego*“ (c. d.); *Listy ze świata* J. S Chamca (c. d.); *Bibljografja*; *Wiadomości ze świata*; *Rozmaitości.*

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).